

ZIEMIA i NARÓD

GŁOS ZIEMI CZERWIEŃSKIEJ

ROMER EUGENIUSZ

Ruś i Ukraina

Rozważania geopolityczne

Ruś i Ukraina w dokumentach

Nazwa Ruś starszą jest od nazwy Polski. Tę bowiem nazwę „Ruś” znajdujemy już w dokumencie traktatu kijowskiego Olega z Leonem VI bizanckim z r. 912 (Smolka). Tę też nazwę powtarza Długosz oddając po łacinie głoskę „ś” przez „ssz”, pisząc przeto „o jednym z wnuków Lecha” „Russz”. Używając wyrazów „regio Ruthenialis, Ruthenorum principatus, Rutheni” staje się Długosz protoplasz zachodnio-europejskich określeń na kraj i ludzi, których Polska od wieków „Rusią i Rusinami” mianowała.

Polscy historycy XVI wieku, Bielski, Strykowski, Gwagnin i inni, posługują się powszechnie nazwą „Ruś i Rusini”, znane im jest już nawet słowo „ruśnić, zruśnić” dla określenia zmiany narodowości. W najstarszym zbiorze polskich przysłów Rysyńskiego z r. 1620 nie brak też żartów o „ruskich darach, o ruskim miesiącu”.

Nazwa „Ukraina, ukraiński”, pospolita na całej Słowiańszczyźnie, nigdzie ściśle nie określona, oznaczała i w Polsce kresy, co wyraźnie zaznacza Koszucki, piszący w końcu XVI wieku, że „do postronnych się ukrajin w cudze strony przyjeżdża”, wreszcie Dmochowski (1810), który stwierdza, że „nasza Ukraina w języku naszym

jest to samo co w niemieckim Marchia”.

Liczne wzmianki w literaturze XVII wieku o wojsku „ukraińskim” rzucają nieco inne światło na znaczenie tego w Polsce używanego słowa. Oto o Kozakach, o ich rejestracji, o Zaporozu mowa!

W tym znaczeniu znano jednak w Polsce to słowo tylko w gorących dniach wojen kozackich, przedtem i później powrócono do określenia nim pewnego krajoobrazowego i kulturalnego obszaru, rozpostartego po obu brzegach dolnego Dniepru. Pojęcie Ukrainy zdobyło zwolna w Polsce te same prawa, jak nazwa Prus, Warmii, Kujaw, Mazowsza, Litwy, Żmudzi, czy Wołynia, Podola czy Podlasia, z tą jednak ważną różnicą, że nie tak ściśle określone, do polskiej nomenklatury administracyjnej nigdy nie weszło.

Niemniej do ostatnich chwil, pospolite nazwania „Litwa, Ukraina” nie budziły w nas żadnej wątpliwości, że mowa o polskiej Polaka ojcowiznie...

W tej nomenklaturze ani na całym świecie, ani w Polsce do ostatniej chwili nic nie drgnęło! Także na Rusi!

Bohdan Chmielnicki, bodaj główny filar najświeższej ideologii ukraińskiej, pisze w swej suplice od wojska zaporożskiego do J. Król. Mości ciągle i tylko o „Rusi” i „narodzie Ruskim”.

Nigdy innego terminu nie używali

posłowie ruscy do parlamentu austriackiego „Ruthenen”; o narodzie ruskim i Rusinach mówili posłowie ruscy w sejmie we Lwowie, a gdy Hruszewski napisał swą słynną historię, zatytułował ją historią „Ukrainy-Rusi”, dublując nazwisko z pełną świadomością, że wówczas nazwa „Ukrainy” w pomyślanym przez niego sensie przez nikogo zrozumiana by nie była.

Dodam na zakończenie tego zbioru dokumentów, że politycznie najbardziej z Polską bojowy „sojuz Rusinok” zmienił swą nazwę na „sojuz Ukrainok” dopiero w r. 1918.

Spustoszenia półoficjalnej „Ukrainy”

Nazwa Ukraina-Ukrainiec, ukraiński w narzuconym mu dzisiaj pojęciu jest nowotworem, niezgodnym z wielowiekową tradycją kulturalną i językową narodu polskiego.

Pierwszy rzeczoznawca polski w tych sprawach, prof. Nitsch rozstrzyga sprawę następująco. Dla odnośnego pojęcia istnieją w języku polskim dwa terminy — naukowy i narodowy. Terminowi naukowemu: Małorusi i małoruski, przeciwstawia się termin narodowy: Rusini i ruski. W wywodzie swym przyłącza jednak się Nitsch do powszechnego już w nauce ruskiej kie-

runku i przyznaje że terminy te w „ruskim” języku brzmią: Ukraińec i ukraińskijskyj”. („Język Polski” T. XII, str. 72).

Do tej przez naukę ruską przyjętej nazwy, przyłączyła się, jak wiadomo, wykonująca państwową egzekutywę część narodu polskiego w tym stopniu, że do instrukcji spisu ludności wbrew tradycji polskiej, nauce i ustawom językowym wprowadziła termin: język ukraiński i ten termin podczas spisu ludności z r. 1931 w tym stopniu bodaj forsowała, że na Wołyniu na 1,418,334 osobników, którzy przyznali się do języka ukraińskiego, spis wykazał tylko nieco ponad 8000, mówiących po rusku.

Dzięki tym oczywistym nastrojom polskiej administracji, spis ludności z r. 1931 nie oddaje zgoła obrazu „ukraińskiej” rzeczywistości w terenie. Oto istotna lekcja tego spisu. W myśl cyfr spisowych przypada na 100 Rusinów na Wołyniu 16 000 Ukraińców, w woj. Stanisławowskim tylko 213, w Tarnopolskim 123, w Lwowskim dosłownie tylko 119.

W „ukraińsko” uświadomionych województwach 80 do 150 razy mniej „Ukraińców” aniżeli na Wołyniu, w r. 1931 zapewne jeszcze zupełnie nie uświadomionym.

Jest osobliwe, że na Łemkowszczyźnie, do której przed 10 laty nie doszła jeszcze w wyższym stopniu agitacja „ukraińska”, a administracja państwowa sfołgowała w swych sentymentach dla językowej nowinki, spis wykazał na 100 Rusinów tylko 19 Ukraińców.

Wszystkie te cyfry wiodą do wniosku, że polska protekcja dla nowinki terminologicznej kłóci się nie tylko z polską tradycją kulturalną i z nauką, ale że przynosi państwu niewątpliwą szkodę, choćby tylko z tego względu, że przyczynia się do zamącenia obrazu narodowej i językowej rzeczywistości na wielkich obszarach państwa polskiego.

Emocjonalne źródła półoficjalnej „Ukrainy”

Wobec powyższego pozostaje niemal już tylko jedna hipoteza dla wyjaśnienia zamilowania do „ukrainizmu”, a mianowicie, że istnieją a może i przezwajają w Polsce poglądy, jakoby możliwie szybka „ukrainizacja” ruskiej ludności w Polsce leżała w interesie polskiej racji stanu.

W pełnej jaskrawości hołduje takim poglądom bodaj jednak tylko p. Bączkowski i Ska. z „Problemów”

(Biuletynu Pol. - Ukraińskiego). „Gdyby nie istniał naród, lecz ukraińska masa etnograficzna, wola p. Bączkowski, to należałoby jej pomóc w osiągnięciu świadomości narodowej”!

Cytując te słowa, we współczesnej rzeczywistości i w tym ścisłym sensie wprost obłędne, wkraczamy na szlaki tzw. prometeizmu i widzi mi się, że na tych szlakach uda mi się odkryć źródło powstania sentymentów polskich dla terminologii „ukraińskiej”, uda mi się znaleźć dla nich zrozumienie, wyłomaczenie, a bodaj i wyjście!

Nie wolno nam bowiem zapominać, że ostatnim, wielkim apostołem prometeizmu był w Polsce Piłsudski, że nie tylko marzył, ale że swą ideę realizował w wielkim stylu.

Nawet nie siląc się o to, by oszacować liczbę ludzi, owych dziesiątek tysięcy, którzy z zapalem służyli idei swego ukochanego Wodza, to pewne, że pozostali liczone tysiące na najbardziej naczelnych stanowiskach wszelkiego polskiego życia, w których krew i w kości wżarło się wspomnienie krwi serdecznej wylanej z Piłsudskim o... Ukrainę.

Ani zdrada, ni podstęp, nawet ta „mgławica” ukraińskiego rządu na Ukrainie nie zdołały podkopać tej przełomnej emocji, która z „Dzikich Pól” pozostała im na całe życie...

Dla tej wielkiej i możnej plejady Polaków „Ukraina i ukraiński”, będąc treścią ich przeżyć, stały się żywą częścią ich, więc polskiej tradycji.

Nie tylko sobie, mniemam że i wielu innym, wiele w tej dziedzinie zdołałem wyłomaczyć, więc i usprawiedliwić.

Może nie od rzeczy będzie w końcu dostatecznie podkreślić, że w całym tym akcie dziejów polskich wyprawy Piłsudskiego na Kijów, a także w jej podłożu dyplomatycznym rozmów Piłsudskiego z Petlurą, wytyczną nie tylko ideową, ale też podstawą terytorialną była wiekopomna ugoda Hadziacka. Tego nie wolno zapominać!

Oto oblicze polskich pobudek przemianowania znaczenia polskiej nomenklatury: Ukraina, ukraiński.

Działo się to anno 1920 w ogniu i złudzie hasła: za naszą i waszą wolność!

Przejdźmy do oświecenia pobudek ruskich tej samej nomenklatury.

Imię i nazwisko każdej osoby, zarówno jednostkowej, jak i zbiorowej stanowią pierwszorzędny dokument. W nazwiskach narodowych wartość nazwy jako dokumentu niepomiernie wzrasta, wszak dzieje nadają każdej nazwie narodu piętno ideowego programu.

Zmiana nazwiska osobowego budzi niepokojące pytanie co do moralnych pobudek czynu, w zmianie nazwy narodu, w ogóle w dziejach nie znanej, musimy się dopatrywać nagłej zmiany frontu w woli i czynach narodu.

Zmiana nazwy narodu to coś więcej niż zmiana nazwy osobowej, ba, coś więcej niż zmiana wyznania. Ale w pobudkach te objawy są pokrewne.

Jeśli też odwieczna nazwa Rusi i Rusinów uległa nagłej zmianie, to proces ten dowodzi, że Ruś i Rusini do porę procesu przemianowania i podczas tego procesu pozbawieni byli pełnej świadomości narodowej, że zmiana ta została grupie etnicznej politycznie narzuconą, a ci, którzy tego dokonali, mieli tę świadomość, że z narzuceniem nazwy: „Ukraina, Ukraińcy, ukraiński” wzniesie zamierzając w tworzącym się narodzie pewną przez nich skonstruowaną nową wiarę i wolę.

Wiemy, że ta nowa wiara i ta nowa wola była już w pierwiastkach powstawania nowej nazwy wprost zwróconą przeciw Polakom w zaborze austriackim przed wojną, a w r. 1919 z narzuceniem Galicji wschodniej przemianowania na Zachodnią Ukrainę i rozpoczęciem wojny domowej, stała się ta nazwa hasłem separatyzmu, irydyntyzmu i nieprzełaganej walki, wytoczonej całemu narodowi i państwu polskiemu.

Nazwa ta była naładowana dynamitem buntu przeciwko Polsce. Ta nazwa przekreślała całą polsko-ruską przeszłość, a jej źródła, tryszczące w nienawiści, wykluczały nawet wszelki narodowo-ruski interes, jeśli chodziło o współpracę z Polską... w odbudowie wolnej, z Polską zfederowanej Rusi!

Wszak rzucając w zapomnienie świąt na południowym wschodzie RP krew przelaną, podnosi Piłsudski hasło prometeizmu, a odbudowując fundamenty ugody hadziackiej, rusza z Petlurą i Pawlenką na Kijów!

Dlaczegoż wtedy nie padło hasło Ruś, nie tylko staropolskie, szczere słowo, ale owo słowo w unii Hadziackiej związane z polskim i litewskim imieniem jako naród i państwo, jako „wolni z wolnymi, równi z równymi i zaci z zacynymi”!

Nie znane są tajniki dyplomacji, ale wszystkie fakty i objawy służą niemal za dowody, że nazwę „Ruś” odrzuciła strona przeciwna, bo nawet w takiej osobliwej chwili wyprawy na Kijów nie miała dobrej woli współpracy z Polską, a uczucia nienawiści do Polski przemagały nad wszystkimi innymi uczuciami.

Ostatnie dwa lata wojny światowej roją się od pomysłów prometejskich, to w krajach „entente”, to przede wszystkim w Niemczech, które właściwą farbę tych pomysłów pokazują w Brześciu Litewskim. Wszystkie te pomysły, zakazane nastrojami „ukraińskimi”, są wszędzie i zawsze zwrócone przeciw Polsce.

Jak doniosła rolę w tym wszystkim odgrywają nie tylko nastroje, ale najwinniej je odzwierciedlająca terminologia „ukraiński”, udowodnił wymowny incydent Rusi, czy Ukrainy Podkarpackiej!

Wyznanie p. Panejki

Jeden z wytrawnych polityków „ukraińskich”, zastępcą przewodniczącego delegacji „ukraińskiej” na konferencję pokojową w Paryżu, Bazyli Panejko, z podziwu godną a bezceremonialną otwartością nakreślił w dyplomatycznej literaturze międzynarodowej (*Le probleme Ukrainien* w „Esprit International”, Styczeń, 1939, p. 68—86) istotne oblicze sprawy „ukraińskiej”.

Stwierdziwszy wielokrotnie brak jasnych przeciwwieści między Rosją — Rosjanami a Ukrainą — Ukraińcami, uzasadnia Panejko konieczność współpracy nie tylko obu narodów, ale przede wszystkim obu państw. 3000, dosłownie trzy tysiące km wspólnej, niczym nie osłoniętej granicy dwu tych państw wprost wyklucza wzajemną na wypadek konfliktów wojennych obronę. Ale oba państwa siebie nawzajem potrzebują. Rosja ze względu na surowce, Ukraina „przeludniona” ze względu na możliwości migracyjne. Z tego nie wątpliwie dobrze przemyślanego punktu widzenia ostrzega wszystkich prometeistów, nie wyłączając niemieckich, przypominając im losy Monogolów, Karola XII, Wielką Armię Napoleona.... „nie licząc już Polaków z Piłsudskim w r. 1920”... Prometeistom niemieckim służy w końcu osobliwa rada: zatrzymajcie się na spełnieniu wielkiego zadania stworzenia wolnego państwa ukraińskiego z Galicji wschodniej i z Wołynia! Ale nie walcie się zaryzykować marszu ku Dnieprowi, wóła pod adresem Hitlera, a już zgoda wiązać się w tym marszu z Polakami, owymi Ukrainy „dziedzicznymi wrogami”.

Oto cały sens wysiłków Panejki, „świadczenia Europy, że jeśli w poczuciu świadomości narodowej między Rosjanami a Ukraińcami istnieje jeszcze pewne wahania, to w stosunku między Polakami a Ukraińcami przerwa dokonała się zupełna. Nie dość te-

go: „Stwierdzam bez przesady, mówi Panejko, że jeśli ubolewania godne w samym sobie pojęcie: wróg dziedziczny można gdzie zastosować, to wyłącznie chyba do Polaków, uważanych przez całą ludność ukraińską jako takiego dziedzicznego wroga...”.

Wniosek ostateczny — zredukować Polskę do „linii Curzona”!

Daleki jestem od tego, bym brał poglądy p. Panejki jako obraz rzeczywistości stosunków wzajemnych między Polakami a Rusinami, ale nie wątpię, że ci, którzy raz po raz przekreślają ideologię i nomenklaturę ugody Hadziackiej nad wznieceniem takiej nieprzejednanej nienawi-trwale i zawzięcie pracują.

Panejko a Bocheński

Jest osobliwe, że ponury obraz, stosunków polsko-ruskich, nakreślony przez p. Panejkę, stanowczego przeciwnika wszelkiego prometeizmu, a w szczególności prometeizmu ze strony polskiej — wszak pisze dosłownie, że „nienawiść ukraińska do Polaków przez inwazję Piłsudskiego na Ukrainę jeszcze spotęgowaną została” — przedziwną i niepojętą okazuje zgodność z obrazem, wyłoniłym w mglistych mózgach współczesnych polskich prometeistów.

W najnowszej książce Bocheńskiego, Łosia i Bączkowskiego (*„Problem Polsko-Ukraiński”* Warszawa, 1938), owego triumwiratu Biuletynu Polsko-Ukraińskiego roi się od zmyślnych widm nienawiści, którą zieją polscy „Ukraińcy” do narodu i państwa polskiego.

Ponieważ tą książką rychło bliżej się zajmę, przeto tu ograniczę się do stwierdzenia osobliwej w tej mierze zgodności poglądów naszych współczesnych prometeistów z poglądami Panejki!

Szczególną a wyłączną własnością owej trójki prometejskiej jest jednak geneza owej „ukraińskiej” ku Polakom i Polsce nienawiści... „Sam fakt, pisze Bocheński, nieuznawania nazwy „ukraiński” „stawia każdego Ukraińca wobec alternatywy: albo będziesz Polakiem, albo musisz Polskę nienawidzić”!

Oczywiście nosens; ale nawet największy nonsens miewa w sobie małe bodaj ziarno prawdy. Prawdą też jest, że polscy „Ukraińcy” nienawidzą pojęcia Rusi, tak silnie związanego z dziejowymi polsko-ruskimi stosunkami, która w ugodzie Hadziackiej doczekała się tak wspaniałego dokumentu i wzoru polsko-ruskiej przyjaźni na zasadach „równi z równymi”.

Terminologia „ukraińska” wymaga wszelkie tego typu wspomnienia, staje się barykadą dla wszelkiej polsko-ruskiej współpracy, jest tym symbolem neofity, zarzekającego się ze wstrętem dawnej swej nazwy, wiary i woli.

* * *

Caveant consules!

Odejdźmy na zakończenie od wielkich problemów politycznych, które się wiążą z terminologią narodów, a wejźmy w szarżynę codziennego życia polskiego na południowym wschodzie RP. Przecież nie wolno nam zapominać, że setki tysięcy Polaków grecko-katolickiego wyznania, może drugie tyle Polaków rzymsko-katolickiej wiary posługuje się w domu językiem ruskim, szlachta zagrodowa tych ziem w pewnym procencie zna w ogóle tylko język ruski; czy stosowanie dla tych ludzi, z krwi kości naszych, nazwy „ukraiński” nabitej dynamitem nienawiści, nie zniszczy nam wysiłków, skierowanych ku rewindykacji dusz polskich, zaledwie poczętych? Caveant consules!

Prof. Dr Stanisław Grabski

»Ziemia Czerwieńska«

odwieczna, nierozdzielna część Polski

Do nabycia w Księgarni TSL we Lwowie, ul. Batorego 30.

Cena 30 groszy

GRABSKI STANISŁAW

O należyta ordynację wyborczą samorządową

Obecny ustrój samorządów wiejskich oddaje na Ziemi Czerwieńskiej pod władzę zarządów gminnych i rad gromadzkich o znacznej większości ruskiej lub ukraińskiej przeszło pół miliona rdzennych polaków rzymskokatolików. Stwierdził to w poprzednim (4) numerze Ziemi i Narodu — prof. Pazdro, którego wielki autorytet naukowy i ścisły obiektywizm nadaje cyfrze tej szczególnej wagi.

Być może, że dzięki przeróżnym zabiegom w wielu gromadach i gminach wyjdzie z obecnych wyborów skład narodowościowy Rad gromadzkich i gminnych lepszy od liczebnego stosunku polskich do niepolskich wyborców, że więc sposób przeprowadzenia wyborów naprawi częściowo błąd ustawy wyborczej.

A jeśli tak się stanie — nie stanie się złe. Społeczeństwo polskie ma obowiązek bronić się przed majoryzacją ze strony ruskiej, a tymbardziej ukraińskiej, w gromadach i gminach i ma prawo oczekiwać życzliwego dla tej swojej obrony stosunku władz państwowych.

Ale wszelkie wykonawcze korektury wadliwych przepisów prawnych, choćby na razie najbardziej konieczne, są na dalszą metę szkodliwe. Jeżeli się je robi — trzeba mieć pełną świadomość, że wybrało się tylko mniejsze zło, a nie stworzyło się pozytywnego dobra.

Nie ma nic fałszywego od dawnej austriackiej maksymy: „to się robi — ale się tego nie mówi”. Przyczyniła się ona niemało do tak niesławnego końca monarchii Austro-Węgierskiej.

Wręcz odmienna była metoda rządów pruskich.

Najdoskonalszym ich uosobieniem był Bismarck. A Bismarck nigdy się nie zawahał przed jawnem, mocą prawa przywilejowaniem dążeń i sił społecznych, kulturalnych czy narodowych, które dla potęgi swego państwa uważał za korzystne, a ograniczaniem zdaniem jego niebezpiecznych.

Nie chylił więc, lecz otwarcie za pomocą ustawy kolonizacyjnej, dodatków kresowych dla urzędników, kresowych kredytów dla kupców i przemysłowców umacniał on niemiecki narodowy stan posiadania w Północnym, na Pomorzu i na Śląsku.

A wynik? Niemcy, pomimo że

przegraly wojnę, wygrały plebiscyt w Prusach Wschodnich i w większości powiatów górnośląskich. Dużą część mazurskiej i śląskiej ludności pochodzenia polskiego i mówiącej w domu po polsku — głosowała jednak za przynależnością do Prus. Bo rządy pruskie imponowały im i swą siłą i ścisłym wykonywaniem ustaw. Istniały w Prusiech liczne ustawy wyjątkowe, wymierzone niekiedy przeciwko socjalistom, to znów przeciw katolikom, a nadewszystko przeciwko polakom. Ale bywało też nieraz, że polak wygrywał w lipskim sądzie Rzeszy proces przeciwko niedość uzasadnionemu prawnie zarządzeniu pruskiego urzędu.

I obecnie Hitler jednoczy naród niemiecki nie utajoną lecz jawną dyktaturą, nie rozbija różnorodnymi manewrami opozycyjnych stronnictw, lecz wprowadził ustrój, nadający partii narodowo-socjalistycznej prawny monopol legalności. Cały zaś program swej polityki mocarstwowej ogłosił w książce, napisanej jeszcze przed dojściem do władzy. Zapowiedział on w niej wyraźnie, że będzie dążył do światowej hegemonii Niemiec. I tę zapowiedź realizuje obecnie z żelazną konsekwencją. Dziwić się tylko można różnym europejskim dyplomatom, dla których wciąż jest przecząca wszelkim ich oczekiwaniom niespodzianką, gdy Hitler robi nie co innego, ale właśnie to, o czym pisał w „Mein Kampf”.

Nie jestem i nie byłem ani chwili zwolennikiem rządów monopartyjnych. Wręcz przeciwnie, od dawna tłumaczę, że Polska położona między totalizmem sowieckim a narodowo-socjalistycznym, by nie wpaść w orbitę jednego czy drugiego ze swych materialnie o wiele późniejszych sąsiadów, musi całą swą strukturę społeczną i państwową oprzeć na diamentralnie przeciwstawnej obu im ideologii moralno-obywatelskiej. Nie ze ślepego posłuszeństwa — lecz jedynie z żywego poczucia w najszerszych warstwach ludu polskiego osobistej każdego obywatela odpowiedzialności za przyszłość Ojczyzny powstanie w narodzie naszym połączona wola zwycięstwa, niezbędna na to, by nieuchronne wcześniej czy później dziejowe starcie z Niemcami skończyło się korzyścią, a nie stratą dla Polski.

Ale zdając sobie w pełni sprawę z niebezpieczeństwa bezkrytycznego przejmowania obcych wzorów ustrojowych — należy się mimo to uczyć z obcych też doświadczeń. A porównanie doświadczeń Austrii i Prus poucza bardzo wyraźnie o wyższości pruskiej metody prawnych przywilejów czy ograniczeń nad austriacką — zapobiegania przez robienie tego, o czym się nie mówi, niebezpieczeństwem wynikającym z nadmiernie liberalnych ustaw.

Więc niezależnie od tego, jak wypadną obecne wybory gromadzkie i gminne, należy co szybciej zmienić dzisiejszą ordynację wyborczą do ciał samorządowych, by nie tylko w wykonawczej praktyce, lecz brzmieniem ustawy ludność polska na Ziemi Czerwieńskiej miała zapewniony należyty wpływ na gospodarkę gromadzką, gminną i powiatową.

• * *

Nie jest to bynajmniej mniej ważne, ani pilne od reformy ordynacji wyborczej sejmowej

Bo naprawdę w codziennym swym życiu rzemieślnik, kupiec, właściciel realności w mieście, a włościanin na wsi jest co najmniej w tym samym stopniu zależny od władzy samorządowej, jak państwowej.

I zasadniczym dążeniem naszej polityki administracyjnej powinno być rozszerzanie a nie zmniejszanie zakresu samorządowej gospodarki. Jest to bowiem najlepsza szkoła obywatelskiej kultury warstw ludowych.

Ani rzeczywistego dobrobytu, ani prawdziwego postępu cywilizacyjnego nie stworzymy samymi nakazami z góry, ze stolicy państwa. Trzeba budować Polskę lepszą, szczęśliwszą, silną nie tylko potęgą armii lecz i twórczością cywilizacyjną — od dołu, inicjatywą i ambicjami lokalnymi dźwignięcia na jaknajwyższy poziom materialnej i duchowej kultury swej wsi, gminy, parafii, swego miasta, powiatu.

Przez sto lat walczyliśmy o odzyskanie własnego, niepodległego państwa. To też wymarzoną idealną naszą inteligencję stała się praca w polskiej administracji państwowej. Ci, co dziesiątki lat przed wojną światową za swą najszczytniejszą służbę narodową uważali przeniesienie kultury narodowej i podnoszenie dobrobytu jakiegos mia-

steczka, czy nawet pojedynczej wsi — po odzyskaniu niepodległości z radością porzucili tereny swej dotychczasowej działalności; przenieśli się do miast wojewódzkich lub do Warszawy, by zasiąść przy biurkach urzędniczych. Życie lokalne, samorządowe — raptem wyjałowiało. I dotychczas przeważnie wegetuje ono. Nie dodały mu sił żywotnych liczne i długotrwałe zarząd komisaryczne.

Ostatni czas by przyszło odrodzenie lokalnych twórczych ambicji wśród naszej inteligencji.

Ambicje takie nie kształtują się jednak pod nadzorem wnikliwej kontroli. Ministerstwa mogą stworzyć Gdynię, Centralny okręg przemysłowy — ale to są niewielkie tylko w stosunku do całego terytorium państwowego ośrodki ekonomicznego postępu. A tuż obok nich rozpościera się przerażający nieraz prymitywizm gospodarczy i kulturalny.

By życie społeczno-gospodarcze i cywilizacyjne ogółu naszych miast powiatowych, miasteczek i wsi doszło do tego, co choćby w Czechach poziomu — nie wystarczą najenergiczniejsze i najnamądrzejsze zarządzenia administracji państwowej — trzeba również śmiało i inteligentnie gospodarki samorządowej. A na to znowu trzeba, by jaknajwięcej ludzi dzielnych, o szlachetnych, twórczych dążeniach chciało pracę w samorządach lokalnych uczynić życiową swą ambicją. Twórcze wszakże ambicje rozwijają się tylko tam, gdzie mają dość szeroki zakres swej ekspansji.

Więc, powtarzam, powinniśmy rozszerzać, a nie zwężać zakres samorządów miejskich, gminnych i powiatowych.

* * *

Wraz z tym jednak rósł będzie wpływ władz samorządowych na życie obywateli. Ale jeśli władze te będą na Ziemi Czerwieńskiej w większości niepolskie — każdy postęp gospodarki samorządowej będzie się automatycznie niemal zwracał przeciwko ekspansji polskiej cywilizacji i polskiej myśli państwowej. Pamiętajmy o naszych własnych dziejach, o tym, jak walcnie galicyjski samorząd krajowy przyczynił się do uniezależnienia od polityki wiedeńskiej naszej myśli narodowej i naszej kultury obywatelskiej.

Więc trzeba wybierać między tymi dwoma alternatywami: albo na narodowo-mieszanym kresach ograniczyć do minimum samorząd lokalny, albo też zapewnić tak silny wpływ na skład jego władz miejscowemu społeczeństwu polskiemu, by nie mógł nigdzie

stać się oparciem ukraińskiego separatyzmu.

Krepując wszakże rozwój samorządów gminnych, miejskich i powiatowych, utrudnimy postęp i własnej naszej kultury obywatelskiej.

Zatem należy wybrać drugą ze wskazanych alternatyw.

I trzeba to wyraźnie powiedzieć: *Konieczna jest zmiana samorządowej ordynacji wyborczej nie tylko po to, by ochronić polską ludność przed majorzującą w gromadach i gminach. Chodzi tu o coś ważniejszego i większego — by samorząd lokalny nie stał się w żadnym mieście, ani żadnej gminie czy nawet gromadzie narzędziem podkopującej jedność państwowego terytorium Rzplitej polityki ukraińskiej. A żeby to osiągnąć — trzeba ustawowo zapewnić, iż choćby ludność polska stanowiła w gminie kilka tylko procent, wpływ jej na gospodarkę gminną nie będzie mniejszy od wywieranego przez ludność niepolską: ruską, ukraińską, czy żydowską.*

Stawiając tę tezę — zaznaczam równocześnie, że nie powinniśmy ograniczać liczby Polaków jedynie do rzymsko-katolików, czy też ludzi mówiących w domu stale po polsku. Szlachta zagrodowa przeważnie jest już polska, choć w większości jest obrządku greckiego. Mamy też i wśród włościan, a jeszcze więcej po miastach Polaków greko-katolików. Polakiem jest ten, kto się przede wszystkim sam za Polaka uważa, należy do polskich stronnictw czy polskich związków lub stowarzyszeń, żąda nauki szkolnej w języku polskim..., choćby wiernie zachowywał ruską mowę i obrządek unicki.

Gdy tak określimy pojęcia Polaka — możemy śmiało twierdzić, że nie tylko nie ma na Ziemi Czerwieńskiej gminy, ale nie wiele jest i gromad, bez

liczby Polaków koniecznej dla oddania w ich ręce co najmniej połowy rady gminnej, a także i gromadzkiej.

Omawiając w trzecim numerze Ziemi i Narodu reformę sejmowej ordynacji wyborczej — przedstawiłem projekt, uzgodniony już niemal rok temu z Komisją Administracyjną Sekretariatu Porozumiewawczego Polskich Organizacji Społecznych, ażeby nie dzielić wyborców na kurie narodowe, podzielić jednak kandydatów na polskich i niepolskich, zapewniając w każdym okręgu mandat temu z kandydatów polskich, na którego padnie najwięcej stosunkowo głosów, i temu z kandydatów niepolskich, który otrzyma z pośród nich najwięcej znów głosów.

Podobnie należałoby też przy wyborach gromadzkich i gminnych ustalać dwie listy kandydatów: polską i niepolską.

Przy tym w gromadach i gminach wiejskich, w których ludność polska nie dochodzi 50%, powinna połowa mandatów do Rady być ustawowo zapewniona kandydatom polskim. Jeżeli zgłoszono ich tyle tylko, wiele jest w Radzie miejsc przeznaczonych dla Polaków, wchodzą oni do niej bez głosowania. Jeżeli zgłoszono kandydatów polskich więcej, zostają wybrani ci z nich, którzy otrzymali stosunkowo najwięcej głosów. I tak samo, jeżeli zgłoszono niepolskich kandydatów tylu tylko, wiele jest przeznaczonych miejsc w Radzie dla radnych niepolskich — otrzymują oni mandaty bez głosowania. Jeśli zaś liczba niepolskich kandydatów przewyższy ilość niepolskich mandatów w Radzie, wejdą do niej ci z pośród nich, którzy otrzymali stosunkowo najwięcej głosów. O ile zaś w danej gromadzie czy gminie wiejskiej Polacy stanowią od 50 do 75% — dwie trzecie miejsc w Radzie otrzymają kandydaci polscy.

W gminach natomiast miejskich najmniejszy udział w Radzie ustawowo zastrzeżony dla polskich kandydatów powinien wynosić 75%. Miasto bowiem jest nie tylko siedliskiem handlu i przemysłu oraz zawodów liberalnych, nie tylko pewną organizacją społeczno - gospodarczego współżycia jego mieszkańców, lecz i promieniującym silnie na otaczające go wsie ośrodkiem kultury duchowej. Więc trzeba zapewnić zdecydowanie polski charakter radom miejskim, by cała ich kulturalna działalność służyła umacnianiu polskiej przewagi cywilizacyjnej na Ziemi Czerwieńskiej i zespłaniu jej w jedną nierozzerwalną całość z polskim terytorium narodowo-państwowym.

Jednomysłną uchwałą z dnia 7. XI. 1938 zwróciło się Zebranie Obywatelskie, reprezentujące trzydzieści kilka organizacji społecznych i kulturalnych z gorącym wezwaniem do narodu o powołanie do życia

„Daru Narodowego Obrony Lwowa”

Oftara na rzecz Daru Narodowego, choćby najmniejsza, zwiększy ilość kościołów, polskich szkół, ochronek i domów ludowych w otaczających Lwów powiatach.
Konto Nr 1937 Miejskiej Komunalnej Kasy Oszczędności we Lwowie, Wałowa 9; czekiem
P. K. O. Nr 500.380.

WILK STANISŁAW

Nie ma monolitu ukraińskiego

Swego czasu Stanisław Lipiński zwrócił uwagę i uwypuklił różnice zachodzące pomiędzy separatystami ukraińskimi różnych krajów i państw. Ich zwolennicy pochodzący z dzisiejszej Ukrainy sowieckiej i Besarabii (z ziem b. carskiej Rosji), z Bukowiny, Rusi Zakarpackiej i Mał. Wschodniej (z b. Austrii) i ze środowisk emigracyjnych (z Jugosławii, Ameryki i Kanady) tworzą odrębne grupy i grupki, politycznie przedstawiające coraz to bardziej różnorodne wartości.

W r. 1937 Lipiński sformułował twierdzenie, że Rusini i separatyści Ukraińcy łatwo asymilują się w środowiskach obcych np. w Ameryce, Kanadzie, przed wojną we Wiedniu, Berlinie itd., za to wśród Słowian i w państwach słowiańskich tworzą irredentystyczne i separatystyczne ośrodki anarchii i buntów, pozbawionych jakiegokolwiek sensu politycznego.

Wśród obcych, zepchnięci do roli społeczeństwa „małej wartości” pchają się do szeregów pogardliwie ich traktujących, w ośrodkach zaś słowiańskich nie szanują praw ludzi wolnych i coraz świadomiej występują się różnym agenturom. Tę prawdę otwarcie odsłonił na łamach „Poslednich Nowosti” — Panejko, b. redaktor naczelny lwowskiego „Dila”.

Ta cecha i właściwość ich ruchu da się zaobserwować w czasie różnych zdarzeń historycznych i współcześnie. Wszystkie prawie założenia polityczne dzielą ich ruch na obozy i oboziki rozbite nieprawdopodobnie. Ich pismo satyryczne „Komar” świetnie to rozbitcie zobrazowało, przedstawiając w r. 1937 ich ruch w postaci dzwonu, który nie oddaje głosu, gdyż młot dzwonu nie rusza się, ponieważ ukraińscy agenci 7 „prądów” z największym wysiłkiem wzajemnie sobie utrudniają swobodę działania.

Bez trudności te różnice ich nastawień politycznych, kulturalnych i obyczajowych można zaobserwować we Lwowie w życiu towarzyskim Ukraińców z za Zbrucza i ich „braci” lwowskich. W towarzystwie jednych i drugich zwraca uwagę, że stanowią oni odmienne typy psychiczno-polityczne, mimo że uciekinierzy z za Zbrucza żyją tu od długich lat tylko w ich środowiskach.

Wielką ich przegraną można sobie uświadomić badając w Jugosławii prądy emigracji małoruskiej (z Ukrainy). Mimo usilnych zabiegów nie udało się separatystom ukraińskim zyskać tej grupy dla swego ruchu. Zobrazował to w swych reportażach z Jugosławii wysłannik „Dila” red. Holjan, który sprawę sobie uprościł i napadł na tych „Ukraińców” za ich zdradę.

Jak niebezpieczne jest wzajemne zbliżanie się separatystów ukraińskich z byłej Austrii i z byłych Węgier, dowodzi tego ostatnie zarządzenie ks. Wołoszyna, który wszystkich „galicyjskich Ukraińców” przekradających się na Ruś Zakarpacką postanowił oddawać władzom polskim. Kilka miesięcy panoszenia się Siczowników ze wszystkich stron świata — dostatecznie przekonano ks. Wołoszyna o absurdzie „jednego monolitu ukraińskiego”. Potwierdza to również ich prasa, która ostatnio rozpisała się o kryzysie ideowym Ukraińców z za Zbrucza, osiedlonych w Pradze, którzy po powstaniu rządu ks. Wołoszyna organizacyjnie się załamali.

Taką jest praktyka. Jeszcze gorzej przedstawia się z teorią ich nacjonalizmu. W jednej tylko organizacji cerkwi gr.-kat. w Polsce można zaobserwować trzy nacjonalistyczne ośrodki ideowo-polityczne. Nacjonałści ks. metr. Szeptycki, ks. biskup Kocylowski i ks. biskup Chomyszyn wyznają politycznie najsprzeczniejsze zapatrywania. Ale nie tylko politycznie się kłócą. Na jeździe unijnym we Lwowie (z r. 1936) obserwowaliśmy jak dla polityki traktowany był, — przez jazdowców a głównie przez referentów zjazdu, — ks. biskup Chomyszyn, względnie wyznawcy jego poglądów.

Od długich lat ruch nacjonalistyczny naszych separatystów jest rozbity na różne grupy z U. N. D.-em i Frontem Jedności Narodowej na czele. Tarcia w UNDO były głośne i będą coraz wraskliwsze. Tu już nie chodzi o Mudrego czy Dmytra Lewickiego i innego Palijewa. W tej grze tworzą się sytuacje, w których ks. metr. Szeptycki podpisuje oświadczenie wspólnie z radykałami, choć te oświadczenia są wykorzystane w walce z nacjonalistą Mudrym.

Trzeba nareszcie zrozumieć, że nie ma, nie będzie i co najmniej nie tak

prędko powstanie monolit ukraiński, — w znaczeniu niemieckim, francuskim, angielskim a nawet i przede wszystkim amerykańskim. Dziela ich przepaści głębsze niż obserwowane wśród Prusaków, Bawarczyków czy Wiedeńczyków, — Paryżan i Prowansalczyków, zwolenników gen. Franko i rządu madryckiego, białych i czerwonych Rosji z r. 1917, a nawet Anglików i Irlandczyków.

W ciągu wieków nie tworzyła się narodowa idea ukraińska. Nie miał jej książę Daniel, ani Chmielnicki, ani Petlura czy Skoropadski, nie mogą jej odwozować do tronu carów. Nauka nie może ustalić daty powstania ich ruchu. Wszystko jest u nich zaplątane, zagmatwane i od obcych przywłaszczone.

Nie ma pomnika literatury, do którego ktoś inny nie bez słuszności nie mógł by rościć sobie pretensyj. Ostatnie badania wykazują, że Szewczenko pisał po rosyjsku, a jego dzieła, — dla Ukraińców nie wygodne, — były przez nich niszczone.

Pozostał im poeta Franko, człowiek wychowany w austriackiej szkole i w środowisku żydowskim, przez całe życie zmieniający poglądy polityczne.

Twierdzą, że Franko zrobił modne „wyszwyki ukraińskie” dla tego, że żona jego była chora i nikt nie mógł dbać o czyste dla niego kołnierzyki. Ta „legenda” odkrywa nam tragedię omyłek nie tylko Ukraińców, ale głównie tych Polaków, którzy różnym Kubijowiczom, autorom atlasów, wydawcom dzieł „ukraińskiego” Szewczenki itd., — pozwalają rozpowszechniać legendę (bez cudzołostwu) o monolocie ukraińskim.

Im prędzej sobie uświadomimy, że nie ma monolitu ukraińskiego, kultury, historii i sztuki narodu ukraińskiego, czym rychlej wyciągniemy wnioski wypływające z tej prawdy, tym rychlej skończy się tragedia tych obywateli Państwa Polskiego, którzy z winy różnych neofitów Oleśnickich, Waclawów Lipińskich, Ty-

szkiewiczów, Tuczapskich i... Szep-tyckich męczą się ze sobą, a innym przysparzają kłopotów.

Naszym zadaniem jest roztoczyć opiekę nad Łemkami, Bojkami, Huculami i innymi grupami naszej dzielnicy — dla zaoszczędzenia im zawodu, jaki musi ich spotkać po praktycznym zapoznaniu się z wartościami bajek o „monolocie ukraińskim”.

Monolitu ukraińskiego nie było w ciągły wieków. Nie ma więc mowy o idei czy ideologii ukraińskiej. Prawda jest jedna. Pierwszy ją uświadomił sobie i innym Panekko. Byli i są ruchy, które w dłuższych odstępach czasu, nie mających ze sobą nic wspólnego, były,

są i będą ruchami zdrady, ruchy ks. Daniela, Chmielowskiego i wychowan-ków Hruszewskiego.

Tragiczną w tej chwili jest Ruś Zakarpacka, na której obecnie naj-łośniej wykrzykują „Sława Ukraina” różne żydy tak inłode i stare, jak i pejsate oraz „kulturalne”.

Tych parę uwag fragmentarycznych poświęcamy naszym parlamentarystom dlatego, że ani jeden z nich w sposób jasny i wyczerpujący nie zbił twierdzenia posłów i senatorów z obozu UNDO, którzy w ostatniej sesji sejmowej przy każdej okazji i stanowczo za często oraz bez repliki rozgadują

się o monolocie ukraińskim. Trybuna polskich władz ustawodawczych nie może i nie powinna być wykorzystana dla propagandy legendy monolitu, która w latach w 1918 i 1919 nie porwała naszych Łemków, Bojków, Huculów, Rusinów, szlachtę zagrodową, a tym mniej rzeszę Polaków gr.-kat. Na froncie walki w „hałyckiej armii” tych grup regionalnych nie spotyka-łimy. Polskemu podatkwowi życia i krwi złożonemu w tych walkach zaw-dzieczając polscy parlamentarzyści swe mandaty i dlatego nie wolno im tole-rować propagandy o „monolocie ukra-ińskim”.

DR PUZDROWSKI JULIUSZ

Ochotnicze obozy pracy społecznej Legii Akademickiej 1938 roku

Powołana z końcem 1937 r. do ży-cia Legia Akademicka nie miała wy-łącznie na celu technicznego wyszkole-nia wojskowego. „Wyrobienie poczu-cia indywidualnej i zbiorowej odpow-iedzialności za sprawę obrony i po-łegi militarnej Państwa oraz karna i ofiarna praca nad podniesieniem Jego potęgi, przygotowanie ludzi we wszyst-kich zawodach cywilnych zdolnych do skutecznej i czynnej współpracy z wojskiem” — oto szerokie tło zamie-rzeń i poczynan Legii. Bo obrona pań-stwa i praca nad podniesieniem jego potęgi to bardzo rozległe pojęcia.

Aczkolwiek tedy z mundurem żoł-nierskim z konieczności związane, ja-ko konieczność epoki przez stan aka-demicki należycie zrozumiane i jako nakaz państwa ustawą ujęte stało się przysposobienie wojskowe najbardziej widoczną dziedziną pracy Legii Akade-mickiej — przecież społeczne tenden-cje nowej formacji paramilitarnej, mniej przez społeczeństwo znane, prze-dziej czy później musiały dojść do gło-su i szukać odpowiednich form reali-zacyjnych. Wyraziły się one w postaci wakacyjnych ochotniczych obozów pracy społecznej.

Pojęte jako próbne, rzucone zostały po raz pierwszy na trzytygodniowy okres lipcowy ub. r. do Małopolski Wschodniej w zwartej grupie w liczbę 6-ciu oraz na Wołyn w liczbie 3-ch. Ponadto na Łemkowszczyźnie opero-wał samodzielny obóz wędrowny, zor-ganizowany przez środowisko kraw-kowskie. Obie grupy składały się za-

sadniczo z słuchaczy jednego środo-wiska, bądź były środowiskowo mie-szane.

Nas, Małopolan, za Małopolskę przede wszystkim odpowiedzialnych, interesują głównie obozy na jej tere-nie. Namioty obozów — z wyjątkiem Lwowa, który kwaterował pod da-chem — rozbite zostały w 6-ciu miej-scowościach powiatu sokalskiego z Ko-mendą główną w Sokalu. Uczestników obozów ponad 200.

Terenem działania była wieś. Bo jeśli prawdą jest, iż w Polsce mamy do zrobienia wszystko, to nie ulega wątpliwości, że w tym wszystkim na plan pierwszy wysuwa się wieś, wieś kresowa, przede wszystkim zaś i spe-cjalnie wieś Małopolski Wschodniej, o której Rzeczpospolita przez kilkana-ście bezpowrotnych lat jak gdyby za-pomniała. I dlatego Legia Akademicka udała się tam właśnie.

Jeżeli można szufladkować sprawy i tendencje życia, tedy celom obozów dadzą się wyznaczyć 3 zasadnicze kie-runki: społeczno-wychowawczy, go-spodarczy i socjologiczny.

Celem pierwszym było dać mło-dzieży sposobność bezpośredniego za-znajomienia się z rzeczywistością wsi, wsi Małopolski Wschodniej w szcze-gółności, nie filtrowaną odpowiednio ani przyprawianą rozmaitymi zapra-wami zależnie od źródła informacyj-nego, z rzeczywistością — praktyką ja-ko uzupełnieniem szarej teorii zdoby-tej na wyższych uczelniach i w życiu wiedzy. Dla kształtowania sobie swia-

domości, dla wysuwania wniosków obecnie, celem ich realizacji w czasie, gdy ta dzisiejsza młodzież z porządku rzeczy dojdzie kiedyś jako czynnik obywatelski czy administracyjny do głosu i decyzji w poruszanych zagad-nieniach. Poszła tedy Legia uczyć się. Poszła poznawać kawał polskiej rze-czywistości. Jej stan, niedomagania, postulaty. Poszła, by poznać, wzbudzić w sobie zainteresowanie i nabrać zamilowania do spraw tej rze-czywistości wiejskiej, wschodnio-ma-lopolskiej przede wszystkim z całą ma-są jej zagadnień politycznych, społecz-nych i gospodarczych.

Z drugiej jednak strony — dać miej-scowej ludności to, na co stać było Le-gię. Dać jej trochę swej pracy fizycz-nej, trochę pomocy w zakresie posia-danych wiadomości, mogących mieć dla wsi jakąś praktyczną wartość, dać rozrywkę godziwą w postaci imprez kulturalno-oświatowych i rozrywko-wych — wszystkim, którzy tego za-pragną. Ale w pierwszej linii elemen-towi polskiemu na kawałku Kresów, tak przez nas opuszczonemu, zanieść polskie słowo i trochę polskiego ducha, budzić wiarę — jakże nadwątloną — i wyrabiać przekonanie, że za nim stoi przecież cała Rzeczpospolita.

Na takim tle ideowym rozwijać propagandę podnoszenia poziomu kul-tury gospodarczej i poziomu życiowe-go przez rozbudzenie ruchu organiza-cyjnego, tendencyj spółdzielczych, za-interesowań dla zdobyć techniki rolnej i nowinek gospodarskich — to

gospodarcza strona dążeń obozów Legii Akademickiej.

Wreszcie dzięki bezpośredniemu podejściu a przez obywatelskie, pozbawione jakichś cech nadrzędności inteligentnej, traktowanie chłopą, zacierac wzajemne uprzedzenia, tak obustronnie szkodliwe, wyrównywać różnice społeczne, tak jeszcze w Polsce nieszczęśliwie żywotne, próbować zasypywać przepaści różnic kulturalnych, tak jeszcze w Polsce ogromnych.

Srodki działania i oddziaływania miała do dyspozycji Legia Akademicka następujące:

1) praca fizyczna uczestników obozów jako sposób podejścia do wsi z jednej strony, uczenia się i uczczenia tejsze pracy jako podstawowego czynnika „rozwoju i potęgi Rzeczypospolitej” z drugiej;

2) pogadanki fachowe na temat ogrodnictwa, sadownictwa, przechowania i zbytu owoców, spółdzielczości, maszyn rolniczych, higieny i chorób zakaźnych i in.;

3) imprezy o charakterze kulturalno-oświatowym i rozrywkowym jak: ogniska, zabawy, przedstawienia, pokazy itp.;

4) pomoc lekarska i weterynaryjna;

5) oddziaływanie obozów na ludność drogą nawiązywania kontaktu z miejscowymi organizacjami oraz indywidualny kontakt uczestników z mniejszymi grupkami i jednostkami.

Takie były założenia. A wykonanie?

Zasięg działalności grupy „Sokal” oprócz 6-ciu wsi kwaternikowych objął 14 miejscowości okolicznych. Pogadank fachowych przeprowadzono 70, ognisk 24, przedstawień 4, zabaw dla dorosłych 8, dla dzieci 13, świetlic urządzono 11, porad lekarskich i opatrunków udzielono ponad 1.100, porad weterynaryjnych i opatrunków 56, nie licząc innych poczyną jak: opieka nad dziećmi, przejawiająca się w dożywianiu, urządzaniu gier sportowych, połączonych z rozdawnictwem nagród (słodczye, książki, zabawki), jak przygodne zabawy, pogadanki, 10 pokazów filmowych dzięki autom propagandowym L. O. P. P. i D. O. K. VI, ofiarowanie 17-tu biblioteczek, kilku apteczek, radioaparatów i in.

Frekwencja gości na imprezach L. A. wyniosła przeszło 10.000 osób, a było to w czasie żniw.

6.000 godzin pracy stanowiło rezultat zajęć fizycznych. Przekopano 1.300 m. b. rowów oraz wykonano rozmaite prace, zindywidualizowane sytuacją terenu jak: wyrównanie nawierzchni kilkuset metrów drogi, współpraca przy szarwarku z ludnością

miejscową, porządkowanie spalonych gospodarstw, darniowanie placu, wykonanie 2 przepustów i in.

Ogólny bilans obozów? Z punktu widzenia korzyści uczestników, korzyści naprawdę nie ulegających wątpliwości, nie zaś obliczanych na papierowy efekt propagandowo-reklamowy, to bodaj w pewnym stopniu i zakresie osiągnięcia, wymienione w celach obozów, przede wszystkim zaś po bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością bodaj pierwiastkowe zaznajomienie się i orientacja w elementarnych zagadnieniach wsi, wschodnio-małopolskiej w szczególności. Pomijając poza tym wszelkiego rodzaju wartości społeczno - moralne, społeczno - wychowawcze, społeczne, m. in. wzrost zainteresowania się stawianymi przez życie zagadnieniami, kształtowanie się poczucia współodpowiedzialności za sprawy tak żywo, tak nagle Rzeczpospolitą obchodzące — najwalsniejszą pozycją bilansu obozów, a najwalsniejszą dlatego, ponieważ dotyczy nie jednostek czy grup, lecz sprawy — jest pozyskanie przez nas Małopolan, nowych, młodych sprzymierzeńców w walce o Małopolskę Wschodnią. Od szeregu lat bezustannie wołaliśmy i wciąż wołamy, że jest tu niedobrze. Nie

chciano nam wierzyć, pomawiając nas o przesadę, o błędny stosunek do rzeczywistości. Na obozy zjechała młodzież z całej Polski, zobaczyła teren i sytuację własnymi oczami — nam, „tubylcom”, przyznała rację. Wracala do swoich środowisk z przekonaniem najgłębszym, że nie nasz sąd o rzeczywistości to rezultat przesadnego wyolbrzymiania lub zgola literackiej fantazji, że nie nasz pogląd i metody — to ryzykowna złuda. Wróciła, by wprawdzie dawać świadectwo. I choć prawda to niewesoła, przecież poznanie jej i wniosek o konieczności stawiania jej przed oczy społeczeństwa całej Polski — to poważny rezultat. Poza tym — młodzież to przyszłość Państwa i Narodu.

A rezultaty z punktu widzenia wsi, objętych działalnością obozów? Przedwcześnie było by już dziś o nich mówić. Rezultatów tej pracy na kredyt przyjmować nie podobna. Niech stwierdzi je wpiery i okaże życie. Wtedy i Legia uzna je za realne rezultaty i zaliczy na swoje konto. Może wkrótce... Byle tylko raz poczętej pracy nie poniechać, byle ją prowadzić stale w przód, potęgując w treści i zakresie!

ZEGLINSKI JERZY

Pomniejszyciele Polski

Oczywiście sami za takich się nie uważają. Sami mienią się „promeiastami”. Snują bowiem światobiercze, gigantyczne plany. Utrzymują, że nie pójsie za ich planami „byłoby wyrazem polityki egoizmu żyjącego pokolenia kosztem przyszłych pokoleń, byłoby produktem ideału konsumpcyjnego, dowodem witalnego wyjąłowienia Polski”.

„Prometeizm” ich zasada się na tym, że pragną zniszczyć kolosa 180 milionowego, jakim jest Rosja. Niemcy tylko 80 milionowe ich nie przerażają. Właśnie więc jako „prometeiści” chcą chwycić się za bary z najsilniejszym.

Równocześnie jednak taki chwyt: „Rosja prawie nigdy nie była krajem silnym militarnie, gospodarczo, czy politycznie. Wszystkie podboje Rosji dotyczyły wyłącznie krajów osłabionych lub przez Rosję dywersyjnie podminowanych”.

I jeszcze:

„Wywłaszczona Rosja, podminowana przez przeciwieństwa światopoglądowo-ustrojowe oraz narodowościowe jest obiektem względnie łatwych wypraw i realizacji koncepcji podziałowych”.

Natomiast Niemcy dzisiejsze „znajdują się w stanie siły i rozwoju”

To wszystko są cytaty z artykułu p. W. Bączkowskiego redaktora nowego organu „prometeistów” — Problemy Europy Wschodniej”.

P. Bączkowski przez szereg lat wydawał i redagował „Biuletyn Polsko-Ukraiński”, w którym propagował porozumienie polsko-ukraińskie i na rzecz tego porozumienia żądał stale ustępsów i koncesyj dla ukrainizmu. W każdym numerze „Biuletynu” było co nie miara ułyskiwania pod adresem Polaków, nigdy natomiast nie znajdowało się zarzutów skierowanych w stronę ukraińską. To też zgodniejszym

z treścią tego pisma byłby jego tytuł „Biuletyn Pro-ukraiński”.

P. Bączkowski w „Biuletynie” udowadniał Polakom, że Ukraina jest koniecznością, że wielkie państwo ukraińskie nad Dnieprem powstanie, wobec czego Polacy powinni się na tę wielką chwilę przygotować. W tym celu trzeba, żeby Ukraińcy czuli się w Polsce jak u siebie w domu, a raczej należy im w Polsce na ziemiach, które wskaza (co by zaś wskazali — to wiemy!) wybudować ich własny dom.

Ze szczególną pasją p. Bączkowski znęcał się w „Biuletynie” nad wszystkimi, którzy gdziekolwiek lub kiedykolwiek powiedzieli coś na temat konieczności rozwoju żywiołu polskiego na Ziemi Czerwieńskiej. Tacy, choćby słowem nie wspomnieli o Ukraińcach, byli od razu określani przez p. Bączkowskiego jako podżegacze, jako wrogowie współdziałania polsko-ukraińskiego, jako przyjaciele Rosji. Tak, p. Bączkowski miał niesłychany dar od-

krywania związków myślowych i taktycznych. On demaskował takiego od razu, co nawoływał do wzmocnienia polskości na Ziemi Czerwieńskiej. Jesteś bracie, moskalofilem, jeśli chcesz wzmocnienia polskości. Skądby ci bowiem inaczej do głowy to przyszło. Wzmocniać polskość to pracować na rzecz Rosji — Taka była teza p. Bączkowskiego.

W tej tezie p. Bączkowskiego było mniej nonsensu, niżby to się na pozór zdawało. P. Bączkowski wiedział jedno dobre: każde wzmocnienie siły polskiej jest poczytywane przez Ukraińców za ich drażnienie, za ich prowokację. Ponieważ takie stanowisko Ukraińców było niewzruszalne, p. Bączkowski jako „prometeista” o wielkich planach, ale przeciw słabszemu, musiał tę realną rzeczywistość wziąć pod uwagę. Chcąc więc za wszelką cenę doprowadzić do porozumienia polsko-ukraińskiego, postanowił wypełnić trudności po stronie, która zdawała się mu łat-

wiejszą do spreparowania. Za taką uznał stronę polską i aby raz na zawsze obrzydzić Polakom chęć wzmocnienia swego stanu posiadania na Ziemi Czerwieńskiej, wszystkich w tym kierunku pracujących okrzykiwał zwolennikami silnej Rosji.

Od wypłynięcia jednak sprawy Rusi Zakarpackiej, od momentu oszołomienia się Ukraińców tutejszych sukcesami Niemiec na terenie międzynarodowym, p. Bączkowski uznał, że propaganda ustępstw na rzecz Ukraińców już nie chwyci. W następstwie zwinął „Biuletyn Polsko-Ukraiński” i zaczął wydawać „Problemy Europy Wschodniej”. W nich od innej strony zaczyna bałamucenie opinii polskiej, już nie wielkich horyzontów dziejowo-międzynarodowych, a za pomocą mieszaniny prometejsko - oportunistycznej, jakiej próbkę przytoczyliśmy na początku artykułu.

Tak to się zmierza do pomniejszenia Polski.

Mobilizacja polskiej opinii publicznej w sprawie Małopolski Wsch.

Z inicjatywy Stronnictwa Narodowego odbyły się w niedzielę, dnia 19 bm, wielkie zebrania publiczne w Krakowie, Lwowie, Łodzi i Toruniu, na których poruszono aktualne zagadnienia polityki zagranicznej oraz sprawę Ziemi południowo - wschodnich. Przyjęta na tych zebraniach rezolucję, podajemy poniżej.

We Lwowie odbyło się zebranie w sali „Sokoła - Macierzy”, przemawiali na nim prezes Zarządu Okręgowego S. N. prof. Stanisław Głabiński, naczelny redaktor „Słowa Narodowego” Jan Matyasik oraz redaktor mgr. Marian Emil Rojek.

Prof. Głabiński wskazał — w przemówieniu swym — na antypolski charakter „ruchu ukraińskiego”, który wysuwa dziś w oparciu o obce agendy zupełnie otwarcie żądanie oderwania od Polski ziemi południowo-wschodnich. Wichrzeniom ukraińskim należy przeciwstawić zdecydowaną i konsekwentną politykę państwową, godną naprawdę wielkiego narodu. Cofając wszelkie przywileje przyznane wrogom nam żywiołom ukraińskim, na polu politycznym, kul-

turalnym i ekonomicznym winien rząd równocześnie otoczyć opieką lojalny lud ruski. Ludność zaś polska, jako jedyna gwarantka przynależności tych ziem do Rzeczypospolitej, musi doznać nie tylko czynnego poparcia we wszelkich dziedzinach życia społecznego, ale muszą być również zagwarantowane jej prawa wyborcze. A mianowicie należy przeprowadzić takie zmiany w obowiązującej dziś ordynacji wyborczej, aby ludność polska — w okręgach pod względem narodowościowo mieszanym — miała *zapewniłą niezależnie od swej liczebności reprezentację zarówno w parlamencie jak i w ciałach samorządowych*.

Redaktor Matyasik omówił obecne międzynarodowe położenie Polski ze szczególnym uwzględnieniem stosunków polsko-niemieckich. Trzeźwa ocena sytuacji międzynarodowej nakazuje nam wzmocnić i zacieśnić węzły sojusznicze łączące nas z Francją oraz zachować pokojowe stosunki z Rosją Sowiecką. Nie trzeba się bowiem ludzi, że Niemcy zrezygnowały z wrogich zamiarów wobec Polski,

chwila obecna nie pozwala im tylko na ich realizację. Doświadczenie historyczne uczy nas, że wojna z Niemcami dawała nam zawsze sukcesy, sojusze zaś z Niemcami prowadziły nas do zguby. Dlatego na każde zaatakowanie naszych żywotnych interesów musimy odpowiedzieć wojną.

Ostatnie przemówienie redaktora Rojka było poświęcone szczegółowemu przedstawieniu stosunków narodowościowych w Małopolsce Wschodniej. Chwila obecna wymaga radykalnych i zasadniczych pociągnięć, któreby ludności polskiej dały zdecydowaną przewagę nad wrogiem jej żywiołem ukraińskim.

Zebranie zostało zakończone przyjęciem przez aklamację — następującej rezolucji:

„Wzrost potęgi niemieckiej, przewaga Rzeszy w Europie Środkowej i plany niemieckie na wschodzie utrudniają położenie Polski. Położenie to staje się tym bardziej skomplikowane, że z chwilą rozbioru Czechosłowacji i prób zaprowadzenia tam faktycznego protektoratu Niemiec Polska została

od Niemna po Prut otoczona wałem niemieckim.

W tym stanie rzeczy naród polski musi zdobyć się na wielki wysiłek, aby zachować swą niezależną pozycję wobec dążeń ze strony Niemiec poddania naszego kraju ich wpływowi gospodarczym i politycznym. Wpływy te zmierzają być do osłabienia Polski: przez podkopanie stanowiska jej nad Bałtykiem przez uprzywilejowanie roli mniejszości niemieckiej w Polsce i przez podsycanie sprawy ukraińskiej, w celu siania niepokoju na wschodzie i prób szerzenia anarchii na jej obszarach mieszanych.

Podobnie jak w innych krajach Europy środkowej i wschodniej Niemcy usiłować będą pozyskiwać od wewnątrz wpływy na nasze życie gospodarcze i polityczne, popierając w szczególności dążenia do takich form ustrojowych, które przez sparaliżowanie twórczej energii narodu polskiego ułatwią im urzeczywistnienie ich planów.

Równocześnie polityka niemiecka w dążeniu swoim do poddania wpływom Rzeszy obszarów rosyjskich do wyzyskania bogactw naturalnych i rynków tego kraju dla przemysłu niemieckiego i do otoczenia Polski od wschodu zmierza do utworzenia na południowych obszarach rosyjskich niezależnego państwa ukraińskiego. Powstanie tego państwa, jak świadczy o tym traktat brzeski, pociągnęłoby za sobą stały jego konflikt z Polską, oraz niebezpieczeństwo odebrania części naszego obszaru państwowego leżącego na wschód od Sanu i Bugu.

Polska nie może pozwolić na urzeczywistnienie tych planów i musi wyleżyć swoje siły zarówno w polityce wewnętrznej jak i zewnętrznej, w celu ich zwalczania. W myśl powyższego zachowując układ niemiecko-polski z r. 1934, dotyczący poprawnych stosunków wzajemnych i nienapadania,

Polska winna stać mocno przy polityce przymierza z Francją, dążyć do pozyskania wspólnej granicy z Węgrami, umocnić sojusz z Rumunią i dbać o dobre stosunki z Włochami.

Na wewnątrz zaś należy jak najszybciej przystąpić do wzmocnienia sił społeczeństwa polskiego we wschodnich i południowo-wschodnich dzielnicach państwa podjęć tam działalność administracyjną, do tego celu zmierzającą i oprzeć politykę władz oraz działalność społeczeństwa polskiego na jasnym i konsekwentnym programie spolszczenia tych ziem i najściślejzego zespolenia ich z resztą Polski.

W szczególności należy położyć kres szerokim knowaniom partii u-

kraińskiej, systematycznie szerzącej wśród ludności ruskiej ruch separatystyczny i terroryzującej jej lojalne wobec Polski oddziały.

Wykonanie programu polityki polskiej, który wynika z nowego położenia, w jakim państwo nasze, na skutek

„Wutek“

LILANY

Obrazek powyższy jest oparty na opowiadaniach mieszkańców następujących gromad:

pow. Zborów: Pleśniany (dawny zaścianek szl.);

Tustogłowy (dawny zaścianek szlach.);

pow. Zaleszczycki:

Lątań (daw. zaśc. szl.);

Dzwiniacz (daw. zaśc. szl.);

pow. Dolina:

Perechińsko (dawniejsza nazwa

Przeogo).

Lilany... Lilany... — to słowa, które w kresowym powiecie Ziemi Czerwieńskiej przeważnie z uznaniem wymawiali Polacy i przychylnie ustosunkowani do nich Rusini. Ale nie brakowało i takich, którzy byliby gotowi zapłacić kilkaset złotych, byle tylko nazwa Lilany znikła z wykazu osiedli ich powiatu. Do tych ostatnich można było zaliczyć kilkunastu polityków „ukraińskich“, ponieważ Lilany stały się synonimem ich niepowodzenia w ruszczenia od wieków polskiej ludności.

Gdy do tego powiatu zawiązała moda na nazwę „ukraińce“ i to równocześnie z przybyciem do Lilan młodego parocha Ostrowskiego, problem stosunków polsko - mniejszościowych żywo stanął przed oczyma tamtejszych Polaków. Jakiś dziwny niepokój opłynał ich umysły. Spokojny, wieśniaczy żywot — wolny od tarć wyznawczo-narodowościowych — musiał ustąpić miejsca nowemu, któremu patronował paroch O. zaszczycony „ideą“ nacjonalizmu „ukraińskiego“ w lwowskiej katedrze św. Jura.

Kłęby szarych obłoków zdawały się ścigać po niebie a zbiegając się tworzyły coraz to czarniejsze chmury, które wnet przysłoniły cały nieboskłon nad Lilanami. Zawsze radosne wejście słońca napawało jeszcze otuchą wiernych chrześcijan, gdy szli na sumę do cerkwi, że wreszcie po dniach słoty nastanie tak bardzo oczekiwana pogoda. Gdy jednak po Mszy św. opuszczali cerkiew, większość gospodarzy mimo rzucającej się w oczy

zmian w Europie środkowej znalazło się, wymaga przepojenia go duchem narodowym, oparcia jego działalności na szerokich zorganizowanych warstwach narodu polskiego i jak najszybszego nadania mu charakteru i ustroju państwa narodowego“.

zmiany oświecenia, wywołanej silnym zachmurzeniem, nie zwracała na to uwagi i nie wznosiła wzroku ku niebu i nie oglądała się wokoło, jak to zwykli czynić chłopcy w wypadkach nagłych zmian atmosferycznych. Nawet porywisty wiatr, który niemilosiernie miał gałęziami świeżo zazielenionych drzew, nie potrafił w wieśniaczych umysłach zrodzić myśli: będzie burza.

Zaroilo się na drodze od starych i młodych, dziewcząt i chłopców, ojców i matek. Młodzież i ci, na których kazanie parocha O. nie wywarło większego wrażenia, nie zatrzymując się na drodze, szybko zdążyli w kierunku swych domów. Reszta zaś, przeważnie Polacy, którzy dzisiaj z powodu błota gremialnie przybyli do cerkwi, bo do kościoła mieli przeszło 10 km, zatrzymali się tworząc kilkusobowe grupy. Siwe obłoczki dymu tytoniowego unosiły się prawie nad każdą z nich. Nie było jednak słychać gwaru rozmowy. Wszyscy czekali na sołtysa, który miał im oznajmić godzinę rozpoczęcia popołudniowego zebrania po uprzednim porozumieniu się z parochem O.

Właśnie małe żółte drzwi zachrystii otworzyły się i z nich wyszedł najpierw ks. O. a za nim sołtys. Przy pozegnaniu uściśnuli sobie dłonie, przy czym coś ważnego kończyli mówić, bo sołtys mocno przytakiwał głową, kłaniając się uniesieniem z szerokim gestem rąk. Rozeszli się. Ksiądz wnet zniknął w bramie pobliskiej plebanii, a sołtys podszedł do czekających chłopów.

— Dzisiaj zebrania też nie będzie — oznajmił donośnym głosem po rusku — bo ksiądz nie ma... —

— Obydźcie się bez niego — przerwał mu ktoś po polsku — z dzisiajszego kazania wiemy czego on chce. Już dwie niedziele tak zwleka. Kto tak myśli, jak jo, to niech przyjdzie dzisiaj do Walka Kaźmierskiego o piąty godzinie a naradzimy się, jak mamy doli robić.

— Słusznie — dał się słyszeć drugi polski głos — pewnie, że tak będzie najlepi.. — A po nim kilkanaście gło-

sów, po jednym, po dwa z każdej grupy naraz opowiedziało się za zebraniem bez czekania na niedzielę, kiedy ks. O. zechce nań znaleźć czas.

Te słowa, niby pierwsze krople wydławującej się wewnętrznej burzy chłopskich serc, chłopskiego sumienia, zbiegły się z pierwszym grzmiotem wiosennym, który dopiero teraz zwrócił uwagę Lilan, że burza nadchodzi. Sołtys coś jeszcze chciał mówić, ale wszyscy zaczęli się już rozchodzić.

— Chodźcie, chodźcie sołtysie — zagadnął go po polsku jego sąsiad i tak we czwórkę zeszli na drogę, gdzie tłumy kurzu chwilami zasłaniały im całkiem horyzont.

— Jak to padam, to jednak nie dobrze robi ten wasz ksiądz — ciągnął ten sam gospodarz — bo za nieboszczyka popa było całkiem inaczej. Panie święc nad jego duszą. On nie robił różnicy między rzymskokatolikami a grekokatolikami, bośmy jednakowo płacili składki na odbudowę cyrkwi, zniszczonej wojną i nieużywanej kilkadziesiąt lat, a i plebanie też my wspólnie budowali. Grunta plebańskie dzierżawili najbiedniejsi, czy to Polacy czy Rusini. A teraz idzie wszystko innym torem.

— Oj źle... źle... i nie po chrześcijańsku — wtrącił się trzeci gospodarz. — Moje dziecko w szkole on nie wybił po gębę za to, że powiedział, że najokrutniejszymi podczas wojen byli Ukraińcy. Co ono winno, kiedy tak w ksiązkach stoi. —

Mieli się rozejść do swoich domów. Mimowoli zatrzymali się chwilę, choć deszcz już na dobre zaczął kropić.

— Przyjdzie i wy sołtysie; przecież wasz ojciec chodzili jeszcze do kościoła, a tylko przez żonę takżeście przywykli do cyrkwi — dodał przy pożegnaniu czwarty sąsiad, ściskając dłoń sołtysa, przy czym szczerze spojrział mu w oczy.

— — — — —

Miedzy drugą a trzecią godziną po południu szalała ogromna burza nad Lilanami. Silny wiatr poodlamywał nie tylko uschnięte konary drzew, ale, nielitościwy, poranił kilkanaście wiosenną młodością tchnących drzew. Trzask łamanych tu i ówdzie gałęzi nie mógł jednak przyprawić o lęk przed żywiołem natury niektórych serc lilańskich Polaków. Wielu z nich bowiem ze spokojem spoglądało przez okna swych chał na gęste sznury kropeł deszczowych. W jaźni ich szalała większa burza. Samo wspomnienie słów, które dzisiaj w cerkwi usłyszeli, nieczym oglądany przez nich wiatr, targało niemilośnie strunami ich

chłopskiego patriotyzmu, nie mogąc go pogodzić się z ideą nacjonalizmu ukraińskiego, z ideą, która usiłuje się zaszczyć na polskiej Ziemi Czerwieńskiej.

Pełne trzy godziny szemrała ziemia, raz głośniejsz, raz ciszej, wchłaniając w siebie miliony kropeł. Miała już w sobie dosyć wilgoci i dlatego z utęsknieniem oczekiwała końca ulewy. Około godziny 16-tej siedmio-barwna tęcza dużym półkolem objęła wschodni nieboskłon.

— Będzie zmiana — powtarzano po chłopskich chałach.

— — — — —

— Źle to i nie po chrześcijańsku nienawidzić kopać dół między katolikami różnego obrządku — przemawiał na zebraniu najstarszy gospodarz i zarazem radny na Lilanach, Iwanicki. — Pan Bóg taskaw i pozwala mi chodźć po ty święty ziemi już 96-ty rok... Od trzech lat z trudem przechowuję te oto dokumenty. —

Wzrok kilkudziesięciu zebranych skierował się na poszarpany zwitek pożółkłych papierów, które w starczej dłoni i na tle złotego światła migocącego w kącie izby przed obrazem Matki Boskiej samej, bez dalszych komentarzy, zdawały się być czymś tajemniczym, czymś, co w konfrontacji z rzeczywistością wprowadzi życie ich gromady na nowe tory. I nie tylko w izbie zapanowała niespotykana dotychczas cisza, ale i zebrani pod otwartymi oknami i w dużej sieni chłopcy z szeroko otwartymi oczyma i prawie z zapartym oddechem czekali na dalsze słowa najstarszego ojca na Lilanach.

— Papieri te dał mi nieboszczyk Malawski, gdy jako 60-letni ochotnik poszedł na wojnę przeciw bolszewikom. On otrzymał je w spadku po swym ojcu. Rok tymu odkopałem te dokumenty z pod lipy i z pomocą swej wnuczki odczytałem niektóre zdania. W tych dokumentach stoi napisane, że dzisiajś cyrkiew była kiedyś kościołem, że nasi ojcowie inne nazwiska mieli, że wszyscy byli Polakami, że... —

Ochryply głos ugrzął snąć w szybko wysychającym gardle staruszka. Sluchacze kierowali swój wzrok naprzemian: raz na żółknięte papieri, raz na kościatą twarz mówcy, którą zdołał nie tylko długi, siwy wąs, ale nawet duże fałdy zmarszczek na długiej szyi.

— Ceniłem bardzo nieboszczyka popa, który zmarł przed kilkoma miesiącami, bo jako pasterz starał się utrzymywać zgodę i ład między swymi owieczkami różnego obrządku. Przez

cały rok dusiłem w swym sercu tajemnicę tych dokumentów. Przez rok z trudem znosiłem swoje obecne sfalszowane nazwisko. Ale dzisiaj już nie mogę przeboleć, że mój wnuk nie nazywa się już Iwanicki ale Iwanickij. Ks. Ostrowski... Nie!... Nie będę mówił o duchownej osobie... Tu, w tych dokumentach jest rodowód naszych przodków. Lilany, to zaścianek szlachecki z polską szlachtą zagrodową, to nie jakieś „ukraińskie село”, jak by tego chciał ksiądz ruski o polskim nazwisku. Mój pradziad nazywał się Jan Sas Bielecki. Przezywano go Iwanem. Z tego złowroga Polsce dusza zrobiła Iwanicki. I takich przemian dokonano wiele... Dzisiaj jesteśmy świadkami... —

Tu znowu przerwał i po jego zgrzebianie poznać było, jak jego pierś nabierała tchu.

— Dzisiaj znowu kozacze dusze knują przeciwko naszej Ojczyźnie. Nie możemy na to pozwolić! Musimy odfałszować historię naszej Ziemi Czerwieńskiej... —

Słowa te, jako kule dum-dum, w zetknięciu z świadomością słuchaczy rozszarpały ich fałszywie utradycyjnione poglądy. W sercach ich wzbierała fala zapomnianego uczucia polskości. Rozpromienione, tu i ówdzie łzami radości naiskrzzone oczy chłopów i kobiet zdawały się czatować na każdy ruch warg Iwanickiego, by tym szybciej chwycić słowa, które jedno za drugim umacniały niektórych w przekonaniu, że oni nie są Rusinami, ale Polakami kresowymi, zruszczonymi przez zaniedbanie mowy i obrzędów religijnych.

— Tak — brzmiał coraz ciszej ochryply głos Iwanickiego — musimy odwrócić bieg wypadków na Ziemi Czerwieńskiej. Na rdzennie polskich ziemiach nie możemy pozwolić budować jakiegś tam sobie U... —

Nie dokończył. Zerwali się wszyscy z ław, które stały wokół ścian i podbiegli do stołu, z którym omdlałego mówcę podtrzymywał już ramionami na swych piersiach sołtys. W izbie zrobił się ruch. Kobiety, których większość stała pod oknami z krzykiem wpadły do środka. Jedna z nich zimną wodą chlusnęła na twarz omdlałego, druga rozwiązała czerwoną wstążkę u kołnierza koszuli.

— Bóg zapłać... nie trzeba... ostanie zdrowi... i nie zapominajcie o tych... — Ostatkami sił, konwulsyjnie podniósł swą spracowaną dłoń, której siniejące już palce z drżeniem zaciskały dokumenty. Śmiertelna niemoc — jako mróz ścina rzekę i pokrywa ją zimnym lodem — unieruchomiła, ale

raz na zawsze, najpierw serce potem oczy, powieki, język i wargi najstarszego Polaka na Lilanach.

Testamentowym słowem Jana Sas-Bieleckiego stało się zadość. Śmierć jego na oczach rady gromadzkiej — spowodowana może uczuciem wstydu, że dopiero w trzy miesiące po śmierci popa ujawnił treść dokumentów, a może ogromnym żalem, że jako zgrzybiały staruszek nie mógł być świadkiem renesansu polskości w lilańskim zaścianku szlacheckim — dziś jeszcze jest częstym tematem wiejskich gawęd.

Minęło kilkanaście lat.

Na gruntach lilańskiego folwarku powstała mazurska osada. Jej to zeso-

wiacy i jaślanie wielce przyczynili się do zrepolonizowania Lilan. Powiększony i odnowiony kościół, który kilkadziesiąt lat był cerkwią a w ostatnich miesiącach nową polityczną areną dla parocha O., stał się znowu strażnikiem kultury łacińskiej.

Okazały, dębowy krzyż na grobie Bieleckiego, którego w lecie a czasem i w zimie zdobiły pęki białych i czerwonych róż, stał się opiekunem znanych dokumentów. Dlatego też każdego, zwiedzającego grób Jana Sas-Bieleckiego, przy godnym ujmowaniu wzrokiem i sercem dębowego krzyża i biało-czerwonych róż musiało zaniepokoić pytanie: A ileż to Lilan mamy na Ziemi Czerwińskiej?

TUZINKIEWICZ STANISŁAW

Zjednoczeni w pracy

Pokolenie, które obecnie odbywa studia akademickie opiera swoją znajomość i umiłowanie Polski przede wszystkim na wyjściowym założeniu geograficznej rzeczywistości Polski w Europie; — Polski liczącej tyle a tyle km² ziemi, tyle a tyle milionów mieszkańców, a położonej między kompleksem germanizmu a kompleksem rosyjskim.

Dla nas nie istnieje już kwestia z jakim kompleksem Polska ma się wiązać, aby być czemś w Europie. Oto troszczyło się wcześniejsze nam pokolenie — i spory o to muszą już raz być porzucone.

Polska jest w Europie realnością nie tylko wymagowaną przez nas, ale uznana przez narody, które do niedawna wątpili jeszcze w naszą pozycję.

Wśród nas inne problemy się ważą; mianowicie jak tę realność wypełnić coraz lepszą treścią, w imię jakich celów i w jaki sposób zapewnić Polsce konstruktywną pozycję w Europie, wytwarzając zarazem wewnątrz jaknajwięcej energii przez zwiększenie ambicji jak najszerzych warstw i zaspokojenie ich potrzeb życiowych.

Zadanie ogromnie trudne. Żyjemy w okresie przełomowym a atmosfera zdeurowania nie sprzyja powstawaniu wielkich, oryginalnych i jedynek rozwiązań.

Na lewo, czy na prawo. O to bilans kilkuletnich walk na naszych uczelniach. Walka zwycięsko przeprowadzona przez jedną stronę zdaje się przybierać nowe formy w ostatnim czasie.

Takie czy inne urządzenie społeczeństwa. Nie jest to błaża sprawa. W tym jednak kryją się pewne niebezpieczeństwa.

Teoria i praktyka winny łączyć się w pewien wyższy typ kultury i życia a na de wszystko inteligencja nie może utracić swoich podstaw od życia społecznego i realności jaką dyktuje nam nasze położenie w Europie i tu na tej Ziemi.

Nie wolno nam spędzać czasu litylko na sporach ideologicznych, na poszukiwaniu celów. Nie poszukiwanie celów, ale działania docelowe, podyktowane rzeczywistością

i racją polską na tej ziemi musi być naszą podstawą życiową.

A rzeczywistość ta nie zawsze jest różowa. Kilka wyjazdów na wieś i bezpośrednie zetknięcie się z chłopem polskim tym podstawowym elementem narodowościowym czy drobnym kupcem tą podstawą naszego mieszczaństwa i poznanie ich wartości dla przeciwstawienia się innym siłom wywołuje w nas bunt przeciwko tej rzeczywistości.

Na huncie jednak nie pozostaliśmy. Bunt musi rodzić czyn. A czyn ten ujęliśmy w formy organizacyjne: Polskiego Akademickiego Zjednoczenia Pracy na Ziemi Czerwińskiej, w której pracujemy już zgórą rok.

Modne dziś jest zjednoczenie. Słowo to nieraz wywołuje sceptycyzm. Nie lękamy się tego. Nie mamy żadnych ambicji odgórnego zjednoczenia. My chcemy zjednoczenia czynu dla Polski, zjednoczenia akademika dla wsi i miasteczka polskiego, zjednoczenia pracy miasta dla wsi polskiej.

W naszych szeregach jest miejsce dla tych, co dla Wielkiej Polski pracują, bo czyż może im być obojętną dola chłopu polskiego i częsta jego obojętność na sprawy

ogólno-narodowe, czy praca gospodarcza nad zorganizowaniem kupca i konsumenta polskiego w celu zgodnego współdziałania na tej ziemi. Jest u nas miejsce również dla tych, co myślą specjalnie o podniesieniu doli warstw najniższych, bo właśnie tego trzeba nam tu przede wszystkim, aby chłop polski podciągnął się gospodarczo i kulturalnie, wtedy tylko bowiem w bilansie narodowym będzie realną i dodatnią pozycją.

Wyjście choćby z bardzo różnych założeń ideologicznych musi nas doprowadzić do tych praktycznych wniosków jakie przyjęliśmy w naszej Organizacji i tę ideę pracy na Ziemi Czerwińskiej będziemy szerzyć wśród różnych grupowań akademickich, bo wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za tę sprawę niezależnie od tego czy innego aspektu ideologicznego.

W pracy tej winni znaleźć się wszyscy dla których Polska nie jest frazesem, przedmiotem koncepcji lub co gorsza „opozycją dla opozycji”. Z tym ostatnim trzeba walczyć najwięcej. Nie wolno uciekać od własnej rzeczywistości.

Nam przystoi tylko aktywność zdobywczą, która nie ugnie się i nie zniechęci przy trudnościach, jakich nie brak w naszej pracy.

Nie tylko jednak trud jest związany z tą pracą — bo czyż nie miły jest taki wyjazd niedzielny do wioski podłwowskiej, gdzie oddychamy atmosferą pól a nie łokali miejskich, gdzie poznajemy nowych ludzi, pomagamy w zorganizowaniu jakiejś pracy i nadajemy kształt pragnieniom tych ludzi. T owszystko rozszerza nasz świat i tworzy Polskę nową, nie taką od dyskusji, ale realną i wchodzącą w życie i krew naszą. Bohaterski Lwów jest siedzibą czterech Uczelni. Stworzylibyśmy potęgę, jeśliby każda z tych Uczelni dostarczała stu ludzi dla systematycznej pracy, umacniającej kulturalną i gospodarczą siłę Polski we Lwowie i otaczających go powiatach. I tak jak już wiele dokonała młodzież akademicka, to stokroć jeszcze więcej może dokonać w Polskim Akademickim Zjednoczeniu Pracy przez systematyczne wyjazdy a nie tylko wiewoła robotę.

Wtedy dopiero będzie można patrzeć z ufnością na przyszłość naszego narodu, bo to będzie dowodem tego, że potrafimy wytworzyć wyższy typ kultury i życia, łącząc hasła i teorie z praktyką i że nasza inteligencja nie traci swych podstaw od życia polskiego społeczeństwa na Ziemi Czerwińskiej.

Z prasy zagranicznej

Prasa francuska

PLAN NIEMIECKI NA 1939 R.

W ostatnich tygodniach opublikowała prasa francuska szereg artykułów poświęconych tzw. „kwestii ukraińskiej”. Nie zawsze były one dla nas przychylnie, choćby wymienić głos znanego dziennika „Matin” — przez nas już cytowany. W nr 5006 z dnia 11 lutego br., wypowiedziało się również w dużym artykule znane na ca-

łym świecie czasopismo ilustrowane „L'illustration”, demaskując w pełni niebezpieczeństwa jakie posiada dla Europy plan utworzenia „Wielkiej Ukrainy” Z powyższego artykułu przytaczamy ustęp odnoszący się do planów niemieckich:

„W końcu października jeden z wyższych dowódców Reichswehry rozwinął przed oficerami swojego sztabu następującą myśl:

„Poprzez Ruś Podkarpacką, poruszmy sprawę niepodległości całej polskiej Ukrainy, tj. całej Małopolski Wschodniej,

Wołynia i Polesia, opierając się na prawie samostanowienia narodów.

W chwili gdy agitacja dosięgnie szczytu, Niemcy niepodzielnie wystosują do Warszawy ultimatum, żądając zwrotu korytarza i Górnego Śląska. Z tego powodu przyrzekniemy Czechom oddanie rejonu Cieszyńska, jeśli będziemy mogli liczyć na ich poparcie przeciwko Polsce. Polska będzie musiała się ugiąć w taki sam sposób, jak Czechosłowacja we wrześniu, ponieważ mimo wszystkie uroczyste układy, nikt nie będzie chciał narażać się dla niej. Do wojny jednak prawdopodobnie nie dojdzie, gdyż Polska musiałaby walczyć na trzech frontach (Niemcy, Czechosłowacja, rozruchy na Ukrainie). Polska zostanie przemieniona w unię trzech państw federalnych, obejmujących Polaków, Białorusinów i Ukraińców, o ile ziemia ukraińska nie zostanie od razu zorganizowana w jedno państwo zupełnie niepodległe. Polska będzie musiała zwrócić korytarz i Śląsk. Pozostawi się jej Poznańskie.

W wyniku takich przemian, Polska straci wszystkie swoje walory potęgi militarnej przeciwnieckiej tak, że będzie zależec tylko od woli Niemiec, w którą stronę Rzesza zwróci swoją ekspansję: przeciw Francji czy przeciw Rosji.

Istnienie Ukrainy polskiej, niepodległej czy autonomicznej, pozwoli zorganizować agitację rewolucyjną w Rosji, opartą o prawo samostanowienia narodów.

Ukraina rosyjska i Ukraina polska będą tworzyć kedyś jedno państwo przynajmniej 40-milionowe. Führer zdecydowany jest stworzyć to państwo nie jako kolonię niemiecką, ale jako sojusznika Niemiec, nie licząc korzyści gospodarczych i politycznych, które przypadną bezpośrednio Rzeszy. Ale istotnym celem Rzeszy jest użycie Ukrainy jako podstawy w kierunku Kaukazu i jego bogactw. Whijcie to sobie, panowie, do głowy: Niemcy chcą uczynić skok, po Polsce i Czechosłowacji, do Rosji sowieckiej, posługując się zasadą samostanowienia narodów. Wszystkie narody w ten sposób wyzwolone zostaną po tym zorganizowane w wielką Ligę Narodów kierowaną przez Berlin.

A dlaczegoż nie miałyby się to urzeczywistnić? Francja i Anglia będą temu przeciwe?

Niemcy liczą, oczywiście, w swoich projektach na poparcie Włoch, gdyż właściwie mówiąc, Włochy wiedzą, że zostałyby wyeliminowane ze wszelkich kombinacji wschodnich. Co dostaną wzamian Włochy? Dostają Tunis, jako punkt wyjścia do szerszego oparcia się w Afryce Północnej i na Morzu Śródziemnym. Jest oczywiście, że Włochy nie mogą sięgnąć po Tunis zanim Niemcy nie będą mogli skoncentrować całej swojej armii na granicy francuskiej. Rzecz ta, prawie możliwa już teraz (po kapitulacji czeskiej), stanie się napewno możliwa po upadku Polski. Ani Niemcy ani Włochy nie myślą o wojnie przeciw Francji, ale tylko o szantażu wojskowym, który zmusi Francję do oddania Tunisu, na mocy samostanowienia narodów. Jakie będą środki tego szantażu: przewaga lotnictwa włosko-niemieckiego w stosunku do francusko-angielskiego i przysięgająca przewaga armii niemiecko-włoskiej w stosunku do armii francuskiej, tym razem wyłączając jej ostatniego sojusznika (Anglie, przyp. tłum.).

Mussolini będzie prawdopodobnie żądał od Führera, ażeby sprawa Tunisu została rozpoczęta na wiosnę 1939 r., ażeby wyzyskać przewagę państw osi pod względem lotniczym. Mussolini wsławił się udzieleniem poparcia Niemcom w sprawie austriackiej i czeskiej. Ale Führer domaga się, aby przed wszelką akcją niemiecko-włoską przeciw Francji o zwrot Tunisu, została załatwiona sprawa Polski. Jak w sprawie Austrii i Czechosłowacji i jak niedawno w sprawie wspólnej granicy (polsko-węgierskiej, przyp. tłum.) Mussolini będzie musiał ustąpić, bo Włosi nie mogą myśleć o „zaśpiwaniu” Francji przed tym, zanim całość armii i lotnictwa będzie gotowa skoncentrować się przeciwko Francji. Jeśli więc sprawa polska znajdzie się na porządku dziennym w Europie na wiosnę 1939 r. — ureguluje się ją prawdopodobnie przed sprawą węgierską i rumuńską — trzeba przyjąć, że sprawa tuniska wyłoni się w lecie lub jesieni 1939 r.

Jeśli Włochy ograniczą swoje rewindykacje do Tunisu, jest prawie pewnym, że otrzymają zadośćuczynienie.

Nie wątpię, że Anglia i Francja zmobilizują się, ale po mobilizacji Anglia da Francji dobrą radę, aby odstąpiła jakąś część dla ratowania pokoju...

Prasa amerykańska

W bardzo rozpowszechnionym w Stanach Zjednoczonych miesięczniku naukowo-popularnym „Current History” znajduje się w ostatnim numerze z lutego br. obszerny artykuł o niemieckich planach w sprawie ukraińskiej i przygotowaniach do ich wykonania. Przytaczamy niektóre ustępy z tego artykułu:

„Zbrojna aneksja Ukrainy przez Niemcy byłaby zadaniem, którego nawet Hitler nie odważyłby się wykonać w istniejących warunkach. Lecz doświadczenie z Czechosłowacją dowiodło, że państwo wassalskie, jeśli tylko zostanie dostatecznie zterroryzowane, może oddać znaczne usługi. By dokonać aneksji, Niemcy musiałby walczyć nie tylko z Rosją, lecz także z Polską i Rumunią, a może nawet z Francją i W. Brytanią. O wiele prościej będzie dopomóc Ukraińcom do stworzenia niezależnego i zjednoczonego państwa ukraińskiego. To mając na oku, Niemcy organizują ruch przypominający we

wszystkich szczegółach ruch Henleina w Sudetach. Ruch ten zainicjował już przed laty Dr Alfred Rosenberg.

Jednym z głównych zadań dr Rosenberga w partii narodowo-socjalistycznej było przygotowanie grup narodowościowych do propagandy w różnych państwach słowiańskich. Najważniejszą z tych grup jest tzw. „Kolo”, czyli związek przeszło 5.000 emigrantów z rosyjskiej Ukrainy. Główne jego biuro obejmujące 10 pokoiów i liczące 30 urzędników mieści się na Charlottenburgu w Berlinie. Pracę wykonują studenci Ukrainy. Prowadzą oni propagandę przeciwsowietką w ośrodkach robotniczych. Żyją poddani ścisłemu regłaminowi wojskowemu. Lektura ich podlega nadzorowi, listy są cenzurowane. Są niemal wziętymi w koszarach narodowo-socjalistycznych. Po trzech latach próby dopiero przyjmuje się ich do „Kola” i wciąga do bardziej odpowiedzialnej służby. Wielu z tych „dyplomowanych” działaczy idzie do Polski i Sowieciów w celu szpiegowstwa i prowadzenia agitacji. Według tajnego okólnika „Kola” posłano w ciągu ostatnich 2 lat 190 studentów do Rosji sowieckiej a 65 do Polski. Pięciu z nich wykryła policja sowiecka.

W 1938 r. Ukraińska Partia Narodowa (UNDO) złożyła w parlamencie polskim wniosek (nie przyjęty jednak przez Marszałka Sejmu jako sprzeczny z Konstytucją, przyp. redakcji) odmiennego od reszty państwa ustroju województw południowo-wschodnich.

Aż do tego momentu UNDO było stronictwem prorządowym. Tymczasem jego przywódca Mudry oświadczył składając wniosek, że 3 lata prób normalizacji stosunków polsko-ukraińskich nie dały pozytywnych rezultatów. Ostrzegali przy tym: Ukraińcy z Polski mogą się odnieść do bardziej im życzliwego mocarstwa z prośbą o opiekę. Tak właśnie mówił Henlein nim wypowiedział otwartą walkę rządowi praskiemu.

Jeżeli rząd Rzeszy zdecyduje się poprzeć ukraińską rewoltę, Polska pierwsza na tym ucierpi. Nie bez powodu gromadzą Niemcy masy materiału wojennego wzdłuż granicy Prus Wschodnich. Gdańsk i „korytarz” są ustawicznie cierniem w boku niemieckich nacjonalistów. Hitlerowscy imperialiści uważają Polskę za zapórę na drodze do państw bałtyckich Ukrainy i Morza Czarnego. Jak długo polska flota wojenna znajduje się w Gdyni między Królewcem a Kilonią, niemiecka siła morską może być bezkarnie zatakowana...

Z prasy polskiej

„UKRAINSKIE WIATRY”
NAD SEKWANĄ

(B) I. K. C. z dn. 22 bm. Nr 53 zamieścił ciekawy artykuł o drogach propagandy ukraińskiej we Francji, który poniżej cytujemy:

Ostatnio w szeregu artykułów poświęconych zagadnieniu ukraińskiemu wskazywaliśmy na źródła i ośrodki propagandy ukraińskiej na zachodzie, podkreślając że problemem ukraińskim wśród państw zachodnich zainteresowały się żywo czynniki nam wrogie i że te czynniki nie

szczędzą środków finansowych na podtrzymanie ukraińskich tendencji separatystycznych i wykorzystanie tych tendencji na rynku międzynarodowym przeciw nam.

Pierwsi zwróciliśmy uwagę na ośrodki ukraińskie roboty w Paryżu, a w szczególności na utworzenie ukraińskiego biura propagandy „East-Presse”, prowadzonego przez byłego pułkownika carskiego Bordiejewa. Ten to Bordiejew do niedawna jeszcze członek świąty „cara na wygnaniu”, nagle stał się „patriotą ukraińskim”, a dobrawszy sobie grono

złożone z dawnych oficerów białej armii carskiej, rozpoczął akcję „budowy państwa ukraińskiego”, sięgającego na zachód po Kraków włącznie, a na wschód aż po Zagłębie Donieckie i morze Kaspijskie.

Różnego typu agitatorzy zebrani z całego świata, dywersanci znani w Polsce z różnych zbrodniczych występów, wszystko to w tej chwili doznaje sympatycznego przyjęcia w pewnych ośrodkach nad Sekwaną. Ściągają tu ze wszystkich stron jak muchy do miodu. Zarobki są dobre. Za artykuły ukraińskie płaci się nieźle i lokuje się je w poczytnych pismach. Różnego typu „spece”, rekrutujące się z pod wiadomych znaków, robią na gwałt „modę ukraińską” w Paryżu. Moda ta poczyniła docierać nawet do takich pism, które niedawno nie tylko nie wiedziały, co to jest Ukraina, ale także przy znanej orientacji geograficznej francuskiej, nie bardzo wiedziały, gdzie leży Polska.

„Należałoby wreszcie rozpocząć raz skutecznie kontrpropagandę i wskazać na te wszystkie ciemne źródła i ciemne międzynarodowe interesy, które szermując oszczerstwem i kłamstwem, starają się szkodzić nam na terenie międzynarodowym. Trzeba przede wszystkim pokazać, że zarówno we Francji, jak i w Anglii w imieniu Francuzów i Anglików nie przemawia Francuzi ani Anglicy, że to wszystko, co się pojawia w prasie francuskiej czy angielskiej, jest importowane i obliczone nie tylko na szkodę naszą, ale i zainteresowanych mocarstw”.

Na „ukraińską propagandę” należy bezwzględnie odpowiedzieć skuteczną kontrpropagandą, zorganizowanie jej spada w pierwszym rzędzie na nasze zagraniczne placówki dyplomatyczne. Równocześnie Ministerstwo Oświaty powinno zająć się docentem Uniwersytetu Jagiellońskiego p. *Kubijowiczem* Włodzimierzem, który będąc polskim urzędnikiem, pracując na polskim uniwersytecie, zasila — jak wiemy — „naukowym materiałem” wroga nam propagandę. Należałoby również skończyć z dotowaniem grubymi tysiącami „ukraińskiego” Towarzystwa Naukowego im. Szewczenki we Lwowie, które puszcza w świat za pieniądze państwowe atlas, wymierzony zupełnie wyraźnie przeciwko naszym interesom narodowo-państwowym.

COŻ TERAZ W SPRAWIE UKRAIŃSKIEJ?

(B) Pytanie to rzucił „Słowo Narodowe” z dn. 19 bm. Nr 50 stwierdzając aktualność „sprawy ukraińskiej”:

„Sprawa ukraińska zeszła obecnie z pierwszego planu wydarzeń i zainteresowań politycznych jakkolwiek posłowie undowscy w Sejmie robią, co mogą, aby wywołać dookoła swoich hasel jak największy szum i zgłębienie. Nie należy to jednak od samych posłów — od Mudrego i Barana, lecz od innych sił — zagranicznych. Należy to zagadnieniu ukraińskiemu znać szczególnie dla niego charakterystyczne — zależności od zagranicznych ośrodków de-
cyzji.

Nie mniej jednak zagadnienie ukraińskie nie przestało istnieć. Zostało ono jedynie przez pewne czynniki odłożone na bok do składu materiałów, które jeszcze mogą być potrzebne. Toczy się wielka rozgrywka dyplomatyczna na Zachodzie, toczy się gra na polach Hiszpanii i w gabinetach dyplomatycznych Paryża, Londynu i Waszyngtonu — a także Burgos, oraz w Pałacu Weneckim w Rzymie i w bawarskim Berchtesgaden, ale równocześnie tli się tuż za granicznym grzebieniem karpackim ogieniek, rozniecony przez Hitlera i Rosenberga. Ogieniek ten może być każdej chwili rodmuchany i posłużyć jako żagiel do wzniesienia na europejskim Wschodzie pożaru, który by pompierom z Berlina dał sposobność do wykazania swojej zręczności i siły.

W Polsce przegrali smrotnie i wprośbaniebie ci, którzy stawiali na Ukraińców, którzy im pomagali i wprowadzali ich na arenę polityczną. Liczyli na to, że powstanie Ukraina nad Dnieprem zwrócona frontem na Wschód, a tymczasem powstała

Z prasy ruskiej

„Wzrost przeciwwukraińskich nastrojów i brak koncepcji...” — tak scharakteryzował w połowie lutego br. naczelny publicysta „Dila” obecne stanowisko Warszawy wobec kwestii ukraińskiej.

„Jakiej Warszawy?” — pyta on. — „Każdej, wszystkich kół i warstw. Chyba nigdy jeszcze poglądy lwowski trójcy „zhisteryzowanych starców” — Grabskiego, Bujaka i Romera — nie miały tyle życzliwego i przyjaznego oddźwięku w nastrojach warszawskich, jak dzisiaj. Innymi słowy, kwestia ukraińska przestała być w ostatnich dniach wogóle tematem spokojnej dyskusji i rozważań na jakim takim poważnym poziomie w jakichkolwiek kołach”.

Po stwierdzeniu, że szeroki ogół w stolicy uważa Ukraińców, za „wroga agenturę” i że poważniejsi ludzie ze świata dziennikarskiego i politycznego tłumaczą przeciwwukraińskie nastroje Polaków reakcją na wzrost nacjonalizmu ukraińskiego, publicysta narzeka na brak jakiegokolwiek rzeczowej platformy ze strony Polaków do dalszej dyskusji i na to, że rozmowa urywa się.

„W ten sposób wytwarza się zaczarowane koło, z którego nie widać wyjścia. To koło jest tym więcej beznadziejne, a sytuacja tym więcej paradoksalna, że równocześnie wszyscy bez wyjątku w Warszawie — i szary obywatel i sferę prasowo-polityczną lub bezpośrednio ludzie z kół urzędowych — jedni podświadomie, inni całkiem świadomie zdają sobie sprawę, że ukraiński potencjał polityczny rośnie. Wszyscy odczuwają, że sprawa stosunków polsko-ukraińskich nie może wiecznie stać na tym samym niejeściu, na którym znalazła się dzisiaj i musi ruszyć naprzód. Ale w tym szkopuł największy, że na przeszkodzie do przemyslenia, jak przeskoczyć ten martwy punkt, stoi mur nastrojów, pełnych wrogości, podejrzeń, nieuf-

„Ukraina” za Karpatami. Ukraina, która wyrzuciła do góry nogami wszelkie sztuczne obliczenia, wszelkie naiwne plany i fantastyczne pomysły”.

„W tym stanie rzeczy społeczeństwo polskie, wszyscy patrioci Polacy, a przede wszystkim narodowcy, powinni zdawać sobie sprawę, że sprawa ukraińska jest nadal aktualna, że wymaga wielkich wysiłków organizacyjnych i politycznych. Każde powiększenie sił polskich jest bardzo ważne, ale ważne jest także aby raz na zawsze przekreślić wszelkie koncepcje porozumienia się z separatyzmem ukraińskim. Kto hodzi o bacyły ukraińskie dla Rosji niech pamięta, że hodzi je również przeciw Polsce. Myśl polityczna polska która chce utrwalić państwowość polską na naszych ziemiach nie znosi ograniczenia serwitutu na rzecz fantastycznych planów przebudowy Europy Wschodniej. Kto chce tę Europę przebudowywać, nie może myśleć o użyciu do tej budowy cegieł z budowlu polskiej”.

ności, gniewu i strachu. Ten mur jest tak gruby i na razie nie do przebiccia, że nawet te nieliczne warszawskie koła polskie, które narzekają na „impas”, w jakim znalazły się stosunki polskie-ukraińskie, nie odważają się z niego wyłamać i nie próbują z nim walczyć, lecz wołają raczej „przecekać”, aż ta wysoka fala nastrojów opadnie”.

W dalszym ciągu stwierdza autor, że wskutek notorycznej niechęci korzystania z prasy ukraińskiej, jako ze źródła informacyjnego wdzięczne pole mają najgłębsze pogłoski, z których wiele czerpie natchnienie z obcych agentur. Autor uważa też za największą pomyłkę z polskiej strony wysiłki pewnych czynników w kierunku tuszowania tematu ukraińskiego w prasie warszawskiej, co jest szkodliwe dla sprawy stosunków polsko-ukraińskich, bo milczenie jeszcze nigdy nie przekreśliło żadnego zagadnienia i nie pomogło go rozwiązać lub zlikwidować. Autor wzywa naturalnie rząd do przeciwstawienia się „nastrojom ulicy polskiej”, które jeżeli nawet mają swoją wagę w rzeczywistości politycznej, to nie powinny sugerować polityki, ponieważ opierają się na zupełnej nieznajomości ukraińskiej myśli politycznej i jej prawdziwych przesłanek.

„Jednak rzeczywistym obrazem spraw ukraińskich nikt się nie interesuje. Zastępuje go fantastyczny obraz, taki, który właśnie każde stopniować przeciwwukraińskie nastroje. A gdy o tej ukraińskiej rzeczywistości zaczęła mówić Ukraina sami, wywołują tylko gniew i oburzenie. Za przykład niech posłużą okrzyki, które rozlegają się w sali sejmowej, a więc w instytucji najbardziej powołanej do rozwiązywania nawet najwięcej nieprzyjemnych zagadnień. Nie ma takiego forum, przed którym można byłoby dzisiaj rozstrząsać

sprawę stosunków polsko - ukraińskich. Kwestia ta została rzucona na fale nastrojów. Przeżywamy moment, który przedłużony w nieskończoność, może zaciążyć niepomiernym ciężarem na całej historii stosunków polsko - ukraińskich".

Streszczony tutaj tak obszernie artykuł przedstawia naogół bardzo trafnie ten stan rzeczy, jaki wytworzył się na froncie polsko-ukraińskim w ostatnim okresie. Nie mamy się czego smuć z jednolitości opinii polskiej, co tak boli publicystę ukraińskiego. Ta jednolitość, zmontowana dzięki inicjatywie Polaków z Małopolski Wschodniej, a także w niemalym stopniu dzięki rozkiełzaniu nacjonalizmu ukraińskiego po wypadkach sudeckich — jest może wreszcie pierwszym krokiem do położenia fundamentów pod pozytywne i państwowy program w kwestii ukraińskiej w Polsce. Niestety trzeba przyznać cytowanemu publicyście, że zbyt mało na razie wiemy o drugiej stronie i że ulegamy fantazji, a może nawet podszeptom obcych agentur, co odbija się na poziomie naszej publicystyki i naszych koncepcji w tej kwestii. Ale ze świadomości, że musimy ruszyć naprzód bez zwłoki i wyjść z tej sprawy zwycięsko, bierzemy już instynkt narodowy asumpt do powstawania ośrodków organizacyjnych, które wezmą całą rzecz w swoje ręce i pokierują nią ze znajomością przedmiotu i z obejmującą daleki horyzont myślą o przyszłości Rzeczypospolitej. Na pewno polska racja stanu nie znajdzie tam stycznych z planami polityków ukraińskich, którzy chcieliby Polskę zaprzęcać do realizowania ukraińskiej racji stanu. Im prędzej z dotychczasowego chaosu bezprogramowości wyłoni się wreszcie polski program w tej decydującej dla rozwoju ziem wschodnich sprawie, tym lepiej będzie dla państwowej postawy elementu polskiego, wolnego już od przemijających nastrojów lekceważenia przeciwnika lub nieuzasadnionej paniki, tym lepiej też dla Ukraińców, którzy przestaną się łudzić, że mogą nas przechytrzyć i zmusić do powolności dla swych celów.

Za pendent do powyższej charakterystyki panujących w obecnej chwili nastrojów trzeba uważać refleksje tego samego autora na temat obrony czci narodowej. Podkreślając w „Dile”, że istnieje ustawa, która ochrania cześć narodu polskiego, występuje on z pretensjami, że ustawa ta

„daje w praktyce bezsporny dowód różnego traktowania Polaków i nie-Polaków, obywateli tego samego państwa, którzy mają wobec państwa te same obowiązki składania ofiary z mienia i z życia. Nie wolno obrażać w Polsce bezkarnie Polaka, ale зато obrażają bezkarnie Ukraińców, Białorusinów, Niemców i Żydów. Ukraiń-

ców obraża słowem i drukiem bez żadnej kary każdy, kto ma do tego ochotę, każdy, kto Ukraińców nienawidzi i chce wyrazić swoją nienawiść zniewagą”.

Przytoczywszy kilka drastycznych przykładów traktowania Ukraińców w druku i na miejscach publicznych, dochodzi autor do głównego punktu swojej wrażliwości narodowej:

„Lecz co mówić o obraźliwych określeniach lub może nawet o jakichś wyrażonych terminach, jeżeli przecież cały szereg gazet polskich do dzisiejszego dnia pisze słowa „Ukraińiec” i „ukraiński” w cudzysłowie. Czy istnieje większa obraza czci narodowej, jak poddawanie w wątpliwość samego istnienia danego narodu i wyrażanie tej wątpliwości za pomocą pogardliwego cudzysłowu? Wyobraźmy sobie, że ktoś śmiałyby to zrobić z rzeczownikiem „Polak”, lub z przymiotnikiem „polski”? Jakaż jest różnica w samym istnieniu obu narodów? Ale gdy za taki wybrak czekałaby sankcja karna z art. 152 kodeksu karnego do 2 lat więzienia — nikomu nawet na myśl nie przyjdzie, aby można pociągnąć do odpowiedzialności indywidualu, które bierze w cudzysłów naród ukraiński”.

Autor nie oczekuje rychłej zmiany w tej dziedzinie i jest nawet zdecydowanym pesymistą, twierdząc, że napewno ci, którzy Ukraińców obrażają, uznaliby za ich kolejną bezczelność żądanie ochrony prawnej dla ukraińskiej terminologii narodowej. Nie mniej domaga się tej obrony i nie wróży poprawy stosunków między obu narodami, jeżeli obecny stan rzeczy będzie trwał dalej.

Jesteśmy przeciwnikami obrażania cudzej godności narodowej, a zwłaszcza wywoływania niekulturalnych zająć publicznych przez jednostki bez taktu i umiarkowania. Ale Ukraińcy powinni od siebie zacząć generalną naprawę, jeżeli chcą, aby ich szanowano. W codziennej praktyce bowiem, zwłaszcza na prowincji, Polacy są narażeni na nieustanne zniewagi, które do żywego dopiekają, a o które trudno przecież na każdym kroku się procesować. Ukraińcy ani w słowie, ani w druku nie tają swej niechęci, złośliwości i wrogości wobec Polaków, na co możnaby przytoczyć tysiące dowodów, np. na podstawie ich prasy. Nie jest to głołosłowny zarzut. Oto pierwszy z brzegu, a wymowny przykład z ostatnich dni. „Ukraiński Wist” wydrukowały w artykule wstępnym z powodu śmierci Piusa XI następujący passus:

„Wpływ Watykanu na bieg wypadków światowych zależy w bardzo znacznym stopniu od indywidualności, która zasiada na tronie papieskim. Papież Pius XI był wielką indywidualnością. Dlatego też za jego panowania działy się rzeczy na historyczną miarę. Zlikwidować długotrwały konflikt z Włochami i zawrzeć traktat laterański, albo wejść w ostry konflikt z

doktryną narodowego socjalizmu — mogła tylko bardzo silna indywidualność. Dlatego uderzająco pomniejsza zmarłego papieża np. prasa polska, która nazywa go „polskim papieżem”. Był on nim chyba o tyle, że nie uaraził się ani razu katolikom polskim, uważając widać ten odcinek za drugorzędny”.

Takie kryteria stosuje się systematycznie do spraw polskich w prasie naszych sąsiadów! Wszystko, co polskie, jest tam bezwartościowe lub co najwyżej — drugorzędne. Polska, państwo, w którym żyje 27 milionów katolików, było dla papieża wybitnego indywidualisty tylko „odcinkiem drugorzędnym”. Na szczęście są to sugestie małego indywidualisty z „Ukraińskich Wist”, któremu w tym wypadku nie uwiarzą bardziej krytyczni czytelnicy. W iluż jednak mniej przyrządnych fałszach trafi on do tych czytelników, poniżając lub wykiwając Polskę. Nic dziwnego, że pod wpływem takiej lektury i słownej propagandy Ukraińcy lekceważą potem i obrażają Polaków, nie dziwnego też, że spotykają się często z drastyczną reakcją, która wybuchła rzekomo bez konkretnej przyczyny.

We wszystkich trzech dziennikach ukraińskich we Lwowie, a także we wielu periodykach ukazały się w ostatnich tygodniach apele o zajęcie czynnej postawy w pracy społecznej. Okazuje się bowiem, że poza pewnym ograniczonym liczebnie aktywem, który działa równocześnie na wielu odcinkach, cała masa nawet patriotycznie nastroszonych Ukraińców trzyma się zdala od działalności narodowej. „Nowy Czas” stwierdzając, że obecny moment doniosłych zmian w życiu międzynarodowym budzi utajoną energię w narodach i znajduje się pod znakiem bardzo pomyślnych dla pracy społecznej nastrojów emocjonalnych i psychicznych — dochodzi do wniosku, że obok wiary w przyszłość potrzebna jest codzienna praca konstruktywna.

„Rozpedu tej pracy masowej u nas nie nie widać. Nasza aktywność twórcza nie idzie w parze z masowymi nastrojami emocjonalno-psychicznymi. Kierownictwa naszych organizacji i towarzystw narodowych jakby nie zauważyły obecnej bardzo korzystnej koniunktury i nie skierowały energii narodowej w kierunku twórczości i aktywności społecznej. Kiedyż, jeśli nie teraz, powinno się rozszerzyć granice organizacyjne naszych towarzystw? Kiedyż, jeśli nie teraz powinno towarzystwa i organizacje zdobyć dla siebie setki i tysiące nowych członków? Kiedyż, jeśli nie teraz, powinno zniknąć „papierowe i martwe” czytelnice „Proświty” i kół „Ridnej Szkoły”, „Siłskiego Hospodara”, kiedy powinna rozszerzyć się sieć naszych spółdzielni itp. Musimi sami siebie i nasze masy narodowe uświadomić, że naród nie może przez dłuższy czas żyć samymi tylko nastrojami,

wiarą lub pragnieniami. Trzeba wierzyć, pragnąć ale równocześnie i pracować! U nas dzieje się odwrotnie! Im wyższa temperatura nastrojów pragnień i oczekiwań, tym mniej ofiarnej pracy!..

Jeżeli chodzi o walkę polsko-ukraińską w terenie, to poza odcinkami miejskim i greko-katolikom, o których pisaliśmy w poprzednim numerze, najwięcej uwagi skupia na sobie ostatnio odcinek szlachty zagrodowej.

„W ostatnich czasach jesteśmy świadkami — psze cytowany już wyżej dziennik „Ukraiński Wisty” — wzmożonej obojętności różnych organizacji polskich i poszczególnych działaczy na ukraińskie ziemie etnograficzne w Polsce na wszystkich prawie odcinkach: politycznym, kulturalnym, religijnym i gospodarczym. Wystarczy przypomnieć działalność „Sekretariatu Porozumienia” planowe budowanie „domów ludowych”, kościołów, podnoszenie sprawy mitycznych „Polaków greko-katolików”, a w końcu ruchliwą krzątaniem Związku Szlachty Zagrodowej”.

Przeczytawszy za „Gazetą Polską” dwuletni bilans tego związku, mówiący o 260.000 członków, zorganizowanych w 400 kołach w Małopolsce Wschodniej i 150 kołach na Wołyniu, oraz wspomniawszy, że ta szlachta, przywiązana do swego obrządku greko-katolickiego lub wschodniego, podjęła walkę o polonizację swych cerkwi, „Ukraiński Wisty” uważają, że jeżeli tylko 1/4 przedstawionych w tym bilansie cyfr odpowiada rzeczywistości, to przedstawia to wielką groźbę dla Ukraińców.

„Czy u nas coś się robi, ażeby temu przeciwdziałać? Należy z całą stanowczością stwierdzić, że bardzo mało. Nasze powołane czynniki powinny bliżej tym się zaciekać. Trzeba skontrolować, czy cyfry, podane przez polskie źródła odpowiadają rzeczywistości, jakimi metodami werbuje się członków związku i jak do tego ustosunkowuje się ogół naszej drobnej szlachty. Należy wydać i rozszerzyć broszury uświadamiające o tym, że nasza szlachta to resztki rodów bojarских i szlacheckich. Do tego powołani są nasi historycy. Trzeba też koniecznie zwrócić uwagę na najsłabszy ekonomicznie element wśród naszej drobnej szlachty, bo jest on najbardziej wystawiony na niebezpieczeństwo wynarodowienia i trzeba ściągnąć go do organizacji gospodarczo-samopomocowych.

„Nasza inteligencja pochodzenia szlacheckiego musi bliżej zainteresować się swoimi braćmi, szlachcicami — rolnikami, rzemieślnikami, robotnikami i musi poprowadzić wśród nich pracę uświadamiającą. Dołąć wygląda jakby nasza inteligencja szlachecka wstydziła się swego szla-

chectwa, kierując się złe pojętymi poglądami demokratyczno-liberalnymi. Wielka odpowiedzialność w sprawie ratowania zagrożonych pozycji na odcinku szlacheckim, spoczywa także na naszym duchowieństwie, które zna może najlepiej stan faktyczny na miejscu. Współpraca tych wszystkich czynników powinna być kierowana przez jeden ośrodek na podstawie dobrze obmyślanego planu. Nie trzeba tego niebezpieczeństwa przeceniać, ale nie można go też lekceważyć, gdyż mamy wiadomości, że akcja czynników polskich daje bardzo poważne i groźne dla nas rezultaty. My już raz przegapiliśmy taką jedną sprawę, Ukraińców rzymsko-katolików. Czy i teraz będziemy dalej bezczynnie się przyglądać, jak z pośród naszych szeregów wyrwyją nam potomków naszych bojarów?”

Nie wiadomo, czy te melancholijnie zrównoważone uwagi są zapowiedzią jakiejś konkretnej akcji, czy tylko jednostronnym artykułem. Ale i na tym przykładzie widać, jak różna jest prawda obu stron. My pragniemy odzyskać całe cenne wyspy i archipelagi tego najbardziej wartościowego materiału ludzkiego, który wziął w posiadanie przed wiekami opustoszałe lub w ogóle puste obszary Ziemi Czerwieńskiej i Wołynia i zrósł się z nimi krwią i potem kilkudziesięciu pokoleń. Wszak wiadomo, że po pierwszych napadach tatarskich pozostała tu tylko nieliczna warstwa drobnych bojarów, a potem przyszyli z głębi Polski tłumne rzesze szlachty chodackowej. One, a nie kto inny, są praszczurami tej szlachty zagrodowej, która po wiekowal niewoli i zapomnieniu, przegarnięta nareszcie przez odrodzoną Ojczyznę, skrzyknęła się pod swoim rodzym sztandarem i przylgnęła z miłością i oddaniem do polskiej sprawy. Ukraińcy przyznają się do tej szlachty po swojemu, na podstawie wspólnego obrządku i podobieństwa trybu życia i obyczajów. Ale już żaden zamach polityczny nie zdoła oderwać od Macierzy tych synów, których ona powołała do pełnienia służby na rubieżach, jak ongi, kiedy ich przodkowie z pługiem w jednej, a z mieczem w drugiej dłoni, zawarli z tą ziemią śluby na śmierć i życie!

Dalsze echa budzi jeszcze w prasie ukraińskiej posiedzenie Rady Gospodarczej SPPS. w Tarnopolu. Poseł dr Baran rozpoczął omawianie tej sprawy we wspomnianym już czasopiśmie „Nacjonalna Polityka”, przy czym na-

razie podał streszczenie referatów i przemówień zapowiadając własne wnioski w następnym artykule. Także „Dilo” w drugim z kolei artykule wróciło do tej sprawy, poruszając zagadnienie stanu średniego u Polaków i Ukraińców.

„Nasze zaniedbanie w rozbudowie stanu średniego — czytamy tam — brak programu humanistycznego i częste pomyłki (może nawet mimowolne) w żywiołowych objawach narastania mieszczaństwa ukraińskiego, a ściślej stanu kupiecko-rzemieślniczego, występują specjalnie wyraźnie, jeżeli zestawieć je z dynamiką polską w tej dziedzinie. Temat naszych zaniedbań mógł by zapełnić całe spore studium, którego materiał byłby specjalnie przykry z ostatnich lat powojennych, a specjalnie z ostatnich, kiedyśmy już — przynajmniej tak się zdawało — zrozumieli znaczenie miasta”.

Jako przykład doceniania miast i stanu średniego przytacza autor fakt, że na przyjęciu, urządzonego w grudniu ub. r. przez polską Kongregację Kupiecką we Lwowie w dniu święta kupieckiego wzięli udział wszyscy bez wyjątku czołowi przedstawiciele władz cywilnych, wojskowych i miejskich. U Ukraińców podobnego kontaktu prawie wogóle nie ma. Nawet stosunki spółdzielni z kupiectwem zostały zerwane wskutek nieporozumień gospodarczo-ideowych, a właściwie personalno-grupowych. Ukraińcy nie mają kas bezprocentowych i niskoprocentowych w których organizację po polskiej stronie tak wiele energii włożyło duchowieństwo. Sesję Rady Gospodarczej w Tarnopolu uważa autor ukraiński za groźne memento i apeluje o wzmocnienie ukraińskiego stanu średniego.

Treść numeru:

Prof. dr. Romer Eugeniusz: Ruś, Ukraina. — Rozważania geopolityczne.

Prof. dr. Grabski Stanisław: O należytej ordynacji wyborczej samorządowa.

Wilk Stanisław: Nie ma monolitu ukraińskiego.

Dr. Puzdrowski Juliusz: Ochotnicze obozy pracy społecznej Legii Akad. 1938 r.

Zęgiński Jerzy: Pomniejszyciele Polski. N. N.: Mobilizacja polskiej opinii publicznej w sprawie Małopolski.

„Wulek”: Lilany.

Tuzinkiewicz Stanisław: Zjednoczeni w pracy.

Z prasy zagranicznej.

Z prasy polskiej.

Z prasy ruskiej.